



WŁADYŚŁAWA

PAMIĘTNIK

Literaturze poświęcony

Właściwość
Właściwość
Właściwość
Właściwość
Właściwość

NADWISŁANIN.

D. Kępczyński

TOM II.

W WARSZAWIE

1841.

Wstęp	1
1. Wykaz	1
2. Wykaz	1
3. Wykaz	1
4. Wykaz	1
5. Wykaz	1
6. Wykaz	1
7. Wykaz	1
8. Wykaz	1
9. Wykaz	1
10. Wykaz	1
11. Wykaz	1
12. Wykaz	1
13. Wykaz	1
14. Wykaz	1
15. Wykaz	1
16. Wykaz	1
17. Wykaz	1
18. Wykaz	1
19. Wykaz	1
20. Wykaz	1
21. Wykaz	1
22. Wykaz	1
23. Wykaz	1
24. Wykaz	1
25. Wykaz	1
26. Wykaz	1
27. Wykaz	1
28. Wykaz	1
29. Wykaz	1
30. Wykaz	1
31. Wykaz	1
32. Wykaz	1
33. Wykaz	1
34. Wykaz	1
35. Wykaz	1
36. Wykaz	1
37. Wykaz	1
38. Wykaz	1
39. Wykaz	1
40. Wykaz	1
41. Wykaz	1
42. Wykaz	1
43. Wykaz	1
44. Wykaz	1
45. Wykaz	1
46. Wykaz	1
47. Wykaz	1
48. Wykaz	1
49. Wykaz	1
50. Wykaz	1
51. Wykaz	1
52. Wykaz	1
53. Wykaz	1
54. Wykaz	1
55. Wykaz	1
56. Wykaz	1
57. Wykaz	1
58. Wykaz	1
59. Wykaz	1
60. Wykaz	1
61. Wykaz	1
62. Wykaz	1
63. Wykaz	1
64. Wykaz	1
65. Wykaz	1
66. Wykaz	1
67. Wykaz	1
68. Wykaz	1
69. Wykaz	1
70. Wykaz	1
71. Wykaz	1
72. Wykaz	1
73. Wykaz	1
74. Wykaz	1
75. Wykaz	1
76. Wykaz	1
77. Wykaz	1
78. Wykaz	1
79. Wykaz	1
80. Wykaz	1
81. Wykaz	1
82. Wykaz	1
83. Wykaz	1
84. Wykaz	1
85. Wykaz	1
86. Wykaz	1
87. Wykaz	1
88. Wykaz	1
89. Wykaz	1
90. Wykaz	1
91. Wykaz	1
92. Wykaz	1
93. Wykaz	1
94. Wykaz	1
95. Wykaz	1
96. Wykaz	1
97. Wykaz	1
98. Wykaz	1
99. Wykaz	1
100. Wykaz	1

WYDZIAŁ

1. Wykaz	1
2. Wykaz	1
3. Wykaz	1
4. Wykaz	1
5. Wykaz	1
6. Wykaz	1
7. Wykaz	1
8. Wykaz	1
9. Wykaz	1
10. Wykaz	1
11. Wykaz	1
12. Wykaz	1
13. Wykaz	1
14. Wykaz	1
15. Wykaz	1
16. Wykaz	1
17. Wykaz	1
18. Wykaz	1
19. Wykaz	1
20. Wykaz	1
21. Wykaz	1
22. Wykaz	1
23. Wykaz	1
24. Wykaz	1
25. Wykaz	1
26. Wykaz	1
27. Wykaz	1
28. Wykaz	1
29. Wykaz	1
30. Wykaz	1
31. Wykaz	1
32. Wykaz	1
33. Wykaz	1
34. Wykaz	1
35. Wykaz	1
36. Wykaz	1
37. Wykaz	1
38. Wykaz	1
39. Wykaz	1
40. Wykaz	1
41. Wykaz	1
42. Wykaz	1
43. Wykaz	1
44. Wykaz	1
45. Wykaz	1
46. Wykaz	1
47. Wykaz	1
48. Wykaz	1
49. Wykaz	1
50. Wykaz	1
51. Wykaz	1
52. Wykaz	1
53. Wykaz	1
54. Wykaz	1
55. Wykaz	1
56. Wykaz	1
57. Wykaz	1
58. Wykaz	1
59. Wykaz	1
60. Wykaz	1
61. Wykaz	1
62. Wykaz	1
63. Wykaz	1
64. Wykaz	1
65. Wykaz	1
66. Wykaz	1
67. Wykaz	1
68. Wykaz	1
69. Wykaz	1
70. Wykaz	1
71. Wykaz	1
72. Wykaz	1
73. Wykaz	1
74. Wykaz	1
75. Wykaz	1
76. Wykaz	1
77. Wykaz	1
78. Wykaz	1
79. Wykaz	1
80. Wykaz	1
81. Wykaz	1
82. Wykaz	1
83. Wykaz	1
84. Wykaz	1
85. Wykaz	1
86. Wykaz	1
87. Wykaz	1
88. Wykaz	1
89. Wykaz	1
90. Wykaz	1
91. Wykaz	1
92. Wykaz	1
93. Wykaz	1
94. Wykaz	1
95. Wykaz	1
96. Wykaz	1
97. Wykaz	1
98. Wykaz	1
99. Wykaz	1
100. Wykaz	1

NADWIŚLANIN

PAMIĘTNIK

Literaturze poświęcony

„...Kto wam uręczył,
Ze dopiero życia jesień,
Dobrze widzi, dobrze czuje?
Jakby życie bez uniesień,
Samój, prawdy było wzorem.

Wolę ogień co mnie pali,
Niż rachubę co was ziębi,
Bo z nim wesół idę dalej,
Wy z rachubą lgniecie głębiej.

D. Magnuszewski.

TOM II.



W WARSZAWIE

W Drukarni L. Maksymiliana Chmielewskiego.

przy ulicy Senatorskiej Nr 463.

1841.

<http://rcin.org.pl>

WARSZAWA

WARSZAWA

Literatura powieści

Wydanie drugie
z poprawkami
i dodatkami
Lubomirski, Adam
Lubomirski, Adam
Lubomirski, Adam
Lubomirski, Adam

Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.

TOM II

W. WARSZAWIE

W. WARSZAWIE

W. WARSZAWIE

1841

POEZJA.

SEN POETY.

I marzyłem, że gwiazdka w tle obłoku złotém,
Drżąca i oderwana od niebios sklepienia,
Świetny krąg zatoczyła, i szybkim przelotem,
Spadła nad moją głową i znikła śród cienia...

I w tęczy jasnym błoku,
Błyszcząc przez zapy mgliste,
Widmo anielskie i czyste,
Zajaśniało memu oku.

Niby ideał poety,
Który siłą twórczej myśli,
W bujnej wyobraźni kręśli,
Obraz anioła kobiety.

Wabił oczu blask uroczy,
Łono wzdymało zastonę,
Ale łzawe piękne oczy,
Ale łono zakrwawione.

I zbliżał się duch promienny,
A ja bladłem drżałem wszystkim,
Jak drży osieczyny listek,
Gdy nim wstrząsa wiatr jesienny.

Głos Ducha.

Młodzieńcze! co niepewne jeszcze wiedziesz kroki,
W świat urojeń dla ciebie nieznan, szeroki,
Co chciwy poznać szczęście, nowych uczuć chciwy,
Bujasz na drodze życia wesoly, szczęśliwy,
Jak skowronek co w niebo wznosi się o świcie,
Lecisz za blaskiem słońca co twe oczy mami,
Świat ten zda ci się rajem, niebem ziemskie życie,
A kobiety aniołami.
Młodzieńcze! strzeż się blasku co uwodzi ciebie,
Bo blask ten wkrótce skryje cień nocy ponury,
Wkrótce powstaną chmury na twym ziemskim nie-
bie,
I piorun wystrzeli z chmury.

O piękna, piękna mara, co twe oczy łodzi,
Dopóki gwiazda szczęścia jeszcze ci jaśnieje,
Dopóki młody, czysty, wierzysz w świat i w ludzi,
Wierzysz, kochasz, masz nadzieję.

Młodzieńcze, nie wierz ludziami bo oni nieczuli,
Będą szydzić z twych uczuć, twą wiarę wysmieją,
Nie pozwolą po szczęściu z któregoć wyzuli,
Cieszyć się nawet nadzieją.

A kiedy stracisz wiarę miłość i nadzieję,
Będziesz płakał i boleść cierpienia poruszy,
I uczucie dobrego omartwieje w duszy,
I serce złodowacieje.

Młodzieńcze, strzeż się blasku co uwodzi ciebie;
Bo blask ten wkrótce skryje cię nocy ponury,
Wkrótce powstaną chmury! na twem ziemskim nie-
bie,
I piorun wystrzeli z chmury...

I sukienka lekka, biała,
Jeszcze błysła memu oku,
Znak żegnalny ręką dała,
I zatonąła w obłoku.

* * *

Znów jak oderwana od niebios sklepienia,
Zdało mi się, że gwiazdka w tle obłoku złotym,
Jasny krąg zatoczyła i szybkim przelotem,
Spadła nad moją głową i znikła wśród cienia..

Znów obłok jasny zaświeci,
Z dźwiękiem, brzękiem, hukiem, śpiewem,
Za lekkim wiatru powiewem,
Nowa mara ku mnie leci.

Oczy błyszczą jak płomyki,
Na twarzy rumieniec dziki,
A jak w snopach zboża kłosa,
Rozrzucone krucze włosy.

Żadna szata jęj nie słoni,
Nie okrywa piersi śnieżnej,
Pełny pułar wina w dłoni,
Na ustach uśmiech lubieżny.

Głos Ducha.

Do mnie do mnie człeku młody,
Chcesz wieść w szczęściu lata młode,
Chcesz użyć życia swobody,
Do mnie— ja do szczęścia wiodę.

Do mnie, do mnie, w rażne kołosa,
Z bluszczowym wieńcem na skroni,
Z pełną wina czarą w dłoni,
Na ustach z pieśnią wesołą.

Użyć szczęścia i roskoszy,
Przyszłość wesoła cię czeka,
Smutek szczęścia nie rozproszy,
A myśl o śmierci daleka.

Użyj użyj życia wiosny,
Niechaj zabrzmie śpiew radosny,
Niech z kielichów piana tryska,
Niech wesołość w oczach błyska.

Tak przeminą lata młode,
Pośród szczęścia i swobody,
Do mnie do mnie człeku młody,
Do mnie ja do szczęścia wiodę.

I głos zabrzmiał mocnym brzmieniem,
A nadobna czarownica,
Wabi ręką i spojrzeniem,
Głosem i uśmiechem lica.

W tem wiatr zawiął, a z powiewem,
Jak pędzona wihrem fala,
Z brzękiem dźwiękiem krzykiem śpiewem,
Uleciała mara zdała.

* * *

Iżnów jak oderwana od niebios sklepienia,
Zdało mi się że gwiazdka w tle obłoku złotem,
Świetny krąg zatoczyła i szybkim przelotem,
Spadła nad moją głową i znikła śród cienia.

Jako jutrzeńki promienie,
Gdy błysną niemi radośnie,
Jako anielskie marzenie,
Jak uśmiech słońca na wiosnę.

Z ócz urokiem z wdziękiem lica,
Z różowym wieńcem na skroni,
Z słodkobrzmiącą lutnią w dłoni,
Zajaśniała mi dziewica.

Głos Ducha.

Jak ziemia, gdy ma zrzucić białe zimy szaty,
Deszczyku, słońca, wiosny, czeka, pragnie, prosi,
Gdy ją słońce ogrzeje, gdy ją deszczyk zrosi,
Wytrysną nowe zioła, rośliny i kwiaty.

Tak twoja dusza dotąd martwem zimnem skrzepła,
Przesądów co tak długo jej zapal tłumity,
Czeka promiennych uczuć ożywczego ciepła,
Aby jak kwiat rozkwitła, w nowe wzrosła siły.

Bo świetny, świetny zawód młodzieńcze cię czeka,
Bo szlachetne uczucie sercem twojem wzruszy,
Bo żyć będziesz nie życiem zwierzęcem człowieka,
Ale życiem umysłu, ale życiem duszy.

Bo nie na to Bóg tobie dał skrzydła sokole,
Abyś wznieść się nie umiał zamiarami swemi,
Abyś pełzał znużony po ziemskim padole,
Jak robak co swe życie przeczołga na ziemi.

Lecz abyś jak jestestwo do czucia stworzone,
Zerwał więzy ziemiańskim przykute łańcuchem,
Przebiwszy się przez twardą zmysłową oponę,
Cały świat obiegnął myślą, niebo pojął duchem,
I chociaż ludzie będą urągać się z ciebie,
Choć będą szydzić z mary która ciebie łudzi,

Choć cię nie rozumieją pokolenia, ludy,
Ty pracuj dla ogółu, ty pokochaj ludzi,
A nagrody za życie, za prace, za trudy,
Nie tutaj nie na ziemi, czekaj wyżej w niebie,
Bądź poetą.....

Wacław Szymanowski.

GOŁĄBEK

naśladowane z Litewskiego.

»Mój gołąbku chyżopióry!
Czemu co dzień latasz w góry?
Czy tu ziarna masz za mało,
Czy ci wody tu nie stało?

Może jastrząb zaczajony,
Porwać cię w ostre szpony,
Albo w locie łupu chciwy,
Życie wydrze ci myśliwy.

Nieuchronnej strzeż się zguby!
Czy tu źle ci ptaszku luby?
Wróć gołąbku chyżopióry,
Wróć się, nie leć więcej w góry!

Nie' nie wrócę — mam wygody,
Dosyć ziarna dosyć wody,
Lecz tu jeden gruchać muszę,
A tam w górach mam swą duszę.

W górach luba mnie na dębie,
Czeka smutna cały ranek,
Niczem strzelcy i jastrzębie,
I gołąb czuły kochanek.

H. K. Brzozowski.

* * *

Myśli moja niebios kwiecie,
W fantastyczne barwna stroje,
Po co błądzisz po tym świecie,
Myśli moja, niebo moje.

Ja za tobą ścigam okiem,
Gonię marę szczęścia zbladłą,
Lecz ty w świecie gdzieś szerokiem,
Znikasz błądzisz jak widziadło.

Czasem rososz mi przynosisz,
Rososz długo nie widzianą,
Czasem łzą powiekę rosisz,
I uciekasz niepoznana.

To czasami dziką pieśnią,
Niby lutnią rozstrojoną,
Znikłych wieków skryte pleśnią,
Tehniesz uczucia w moje łono.

Wtenczas dusza głucho drzemie,
Ty żeglujesz w innym świecie,
Zbierasz słodycz, nieszczęść brzemie,
Słuchasz burzy, pieścisz kwiecie.

I tak ciągle bez przestanku,
Wielkim światem sama jedna,
Do chwil życia od poranku,
Kochasz, cierpisz— myśli biedna!

L. Mazurkiewicz.

REZYGNACYA POETY.

Gdy mi wszystko naokół gorzkie i niemile,
Gdy mi coraz smutniejsza doba mknie za doba,
Gdy me serce dowoli krwawych łez opile,
Na grobie swych nadziei czerni się żałoba,
O moje myśli dzikie, niekarne, niestrojne!
Wy, uczucia moje, wiecznie wrzące, niespokojne!

Tom II.

2

Wy wierne mi zostańcie:—a ty, moja pieśni,
Wzniesiona nad zatopy stariej świata pleśni,
Wydobądź wszystkie iskry z myśli mych ogniska;
O! niechaj wśród żelaznej utrapień obręczy,
Śród marnego poziomych uniesień igrzyska,
W tobie pieśni swobodna, niepodległa pieśni,
Duch mój ziemską wędrówkę nie po ziemsku prze-
śni,

Ty bądź rosą pociechy i rozkoszy kwiatem,
Ty bądź dla mnie kochanką, matką, siostrą bratem;
Bądź mi świeżym nadziei pozagrobnych listkiem,
I gdy mi wszystko wrogiem, — ty bądź dla mnie —
wszystkiem,

Wzywam cię, wywołuję z piersi moich cieśni,
Wyptyń, wyptyń stubarwa, drogocenna pieśni!

* * *

O! dla niej to ja dla niej szczerym ogniem stałem;
Dla niej najczystszych tonów w sercu dobierałem;
Natchniony jej przeczystym okiem safirowem,
Jam ją pragnął wyśpiewać złotoptynnym słowem,
Ach com ja czuł, jak ptonał, jak ją czcił głęboko,
Jak na samą jej wzmiankę wzbijał myśl wysoko,
Czem miał nieba w każdym jej pojrzenia rzucić,
Darmoby to powszednie chciało zgadnąć czucie,
Cóż tocha, wietrzna niewiasta! — I jażem to mężem?
Cóż jażem to dla niej zgryzot opasał się wężem?
Cóż jażem to dla niej czucia zziębnił najgorętsze?

Ach! jażem dla niej wczły potargał najświętsze!
Płocha, wietrzna niewiasta! — Słodkiem przymil-
niem,
Tkliwym wzrokiem i uczuć kłamany płomieniem,
Słowiczemi słowami, cukrową pieśczętą,
I pozorem cierpienia, i udaną cnotą,
I lubością wionących wdzięków urokami,
Rozpałiła mi serce, jak bóstwa iskrami,
Och! gdym ją lubił w tkliwém, serdeczném objęciu,
Szczęśliwy! jak mąż pierwszy przy świata poczęciu;
Jakże mnie zaręczała i słowem i wzrokiem,
Że nam przyszłość popłynie rozkoszy potomkiem,
A gdym ufny niewieściej tkliwości i mowie,
Smiał roić szczęście niebian w rozszalałej głowie;
Kiedym ją śmiałem skrzydłem uniósł i postawił,
Tam,—gdzie drobny latawiec nigdy nie zabawił,
Tam,— na tej niedościgłej gminowi wyżynie,
Kędy ziemia z swojemi cnotami, zbrodniami,
Oślepnęte ni rozумы, nędznemi strachami,
Jak drobny pyłek w światła oceanie ginie;
Gdym jęj słabe, poziome uderzył zrenice,
Blaskiem rozkoszy tych wyżyn mieszkańców,
I rosząc łzą miłości pałające lice,
Chciał ją gwiazdą uczynić światła wychowaućów;
Ona głucha na górnej harmonii dźwięki,
Wydarta się z wiodącej po niebiosach ręki,
I z trwożnym czołem w cieniach wyrosłej niewia-
sty,
Ukryła się nizeziemnie między ziemskie chwasty!

* * *

Sam więc jestem śród myśli rozpacznych powodzi,
Jak żagiel ocalały z okrętu rozbicia!
Ach! któż teraz pokaże drogę mojej łodzi?
Kto mi czarę osłodzi niemiłego życia?
Rozbiły się i zgasły rojeń mych klejnoty;
Runął w proch bałwan szczęścia, — niema, niema
cnoty!
Darmo żal ściska serce, łzami płyną oczy,
Już nas promień zapału nigdy nie zjednoczy,
Ostatni to już rozblask złudzeń mych ulata,
Sam jestem, sam! w ciemnicy człowieczego świata.

* * *

Ty jedno, rdzą światową nie starte natchnienie,
Ty odziej w strój dziewiczy duszy mej marzenie,
I jako nieskalana kryształów krynica,
Odbij w pieśni kochanek niewcielonych lica,
Lica wiecznie kwitnące młodych uczuć wiosną,
I serca w iskrach pojrzeń gadające głośno,
I rozkoszne powaby nutą szczęścia tchnące,
I wszystkie owe cuda w myślach mi świecące,
Co z światów tajemniczych nie zstąpiły jeszcze,
I tylko znane ziemi przez widzenia wieszczę,
Z niemi ja, kiedy w dumach myśl moja utonie,
Pieścić będę me serce jak w huryssek gronie,

I choć się w duszy mojej żal i rozpacz mieści,
Lira moja spółbraciom rozkosze obwieści,
Tutaj! — nic mię już szczęścia nie znamni pozorcim;
Tasklepię się sam w sobie z ducha mego tworem,
I pieśnią do snu śmierci kołysać się będę,
Nim lepszą sobie dolę może — tam! — uprzedę.

Wiktoryn Zieliński.



MIASTO GRABOWIEC.

Cisniemy się do miast wielkich, przyglądamy pałacom, kolumnom marmurowym, ogrodom z koszem i wytwornością zasadzonym dla oka; pogardzając wszystkiem co skromne, proste, naturalne. Kto przepędził lat kilka młodości swojej w miłym ustroniu wiejskiem, ten na zawsze słodką o niem pamięć zachowa. Tam każdy cichy zakątek, mała struga, jedno drzewo, wołać go będzie całe życie do siebie. Dlatego to opisy miejscowości najczęściej wzbudzać w nas powinny zajęcia. Nie sądzmy iż to liche miescina, stary gruz te nędzne chaty w pępnej okolicy nie są godne zastanowienia — niech pisarz patrzy okiem malarza poety, niech poszuka posłucha opowiadań, a nigdy praca jego nie będzie nadaremna. Pożądaniem są dzieła tego rodzaju, lubo im się nie wielu poświęca — u nas W. H. Gawarecki, w Gallicyi Wincen-

ty Pol, w Poznańskim Łukaszewicz, w Litwie niezmordowany Kraszewski i Przędziecki, obok innych prac ważnych, obecnie przysługują się także i krajowemi opisami — wdzięczność im za to należy, z naszej zaś także strony przyrzucimy jeden przynajmniej niekiedy kłosek w to żniwo po własnej niwie zbierane.

Grabowiec miasteczko w obwodzie Hrubieszowskim położone, już prawie żadnych śladów dawnej zamożności nie posiada. Zbudowane w najprzyjemniejszym położeniu, na rozkosznej równinie, którą mała rzeczka Kalinówka przebiega krętym pasem po łąkach i po rowach — od południa pasmo gór rozciągniętych do miasta Uchań, z drugiej zaś strony wieniec borów odwiecznych kończy granice widnokręgu. Na górach widać jeszcze ślady zamczyska okolonego wałem i gruzami. Na tej górze przedmieście Góra zwane, swemi rozrzuconemi chatami które zśród drzew i płotów skromne słomiane dachy wychylają, mile wabi przechodnia — u spodu wypływa kilka zdroi z pokładów kamienia wapiennego.

Dzisiejszy Grabowiec pomimo swego upadku, posiada bardzo znaczny i najrozleglejszy prawie w Lubelskim handel zboża, a to z przyczyny i swojego w urodzajnej okolicy położenia, i zwyczaj który go od lat dawnych dotąd nie opuszcza. Ludność w roku bieżącym wynosi 2317 mieszkańców, między temi wyznania mojżeszowego 1035.

Od roku 1039 przybyło tylko 81 mieszkańców. Domów czyli numerów ma 311 a z tych dwa murowane, kościołów dwa, rzymsko-katolicki i unjacki trzecia bóżnica.—Kościół rzymsko-katolicki, założony przez Ziemowita księcia mazowieckiego, w roku 1397, unjacki zaś niewiadomo kiedy i przez kogo. W roku 1814 obie te świątynie zostały przez pożar zniszczone, i dotąd modły odprawiają się w zakrystiach tych rumowisk. Rozległość własności miejskich wynosi morgów 2600; własnego lasu na dochód kassy miejskiej jest morgów 681, łąk wypust zwanych morgów 33, wygonu morgów 122. W domu murowanym należącym do miasta, na piętrze mieści się kancelarya Urzędu Muncypalnego, na dole zaś siedm sklepików przynoszących kassie rocznego czynszu złotych 500— należą także do miasta dochód z targowego i jarmarcznego. Ogólne dochody kassy rocznie czynią złotych 3792 (*). Jarmarków odbywa się do roku dwanaście, prócz tego są liczne targi na zboże, bydło, i inne produkta wiejskie, w każde prawie święto.

Do szkółki elementarnej uczęszcza 46 uczniów; nauczyciel pobiera rocznie od miasta złotych 500

(*) Wiadomości statystyczne udzielone mi przez P. Konstantego Sokulskiego Prezydenta grabowieckiego, zatwierdzone zostały przez Kommissyę Rządową Spraw Wewnętrznych.

i 12 korcy ordynaryi. Mieszczanie trudnią się wyłącznie rolnictwem, rzeźnią bydła i sprzążką wieprzy—z rzemieślników jest tylko kilku szewców, krawców, kuśnierzy i tkaczy. Gleba ziemi czarno-glinkowata i popielatka, w ogólności grunt pszenny. Graniczy Grabowiec z wsiami: Danczypol, Grabowczyk, Bereście, Gdeszyn, Horyszów ruski, Zawalów, Swidniki, Zurawtów, Skomorochy wielkie i małe, i Tuczępy.

Grabowiec niegdy miasto grodowe dzisiaj jest własnością niejako prywatną, sprzedany po śmierci ostatniego Starosty Wilgi przez Rząd Austryjcki w roku 1808. Miasteczko to w czasie wojny 1812 r. wiele bardzo ucierpiało, następnie w r. 1814 pożar zniszczył przeszło sto domów, i powtórnie w roku 1838 domów 66.

Założenie miasta Grabowca sięga bardzo dawnych czasów, nie wiadomo kto i kiedy je założył, pewno jednak, iż to była niegdyś osada Książąt ruskich. Nazwisko Grabowca niewątpliwie daje się wyprowadzić od lasów grabowych, które w całej tej okolicy od wieków i wielkie znajdują się.

Z najdawniejszych o nim śladów okazuje się, iż w roku 1097 przez napad sąsiedzki wiele ucierpiało—następnie w r. 1211 za panowania Bolesława V Tatarzy zupełnie je zniszczyli. Odbudowane dopiero przez Ziemowita Księcia Mazowieckiego około r. 1390, erekcyą bowiem przez tegoż

Kościółowi tutejszemu nadana datowaną jest r. 1397; o czém poświadczał i przywilej Władysława Księcia Mazowieckiego z r. 1447 dziś już, za tracony.

Po długim czasie, dopiero r. 1376 Grabowiec wraz z innemi zamkami został odzyskany, Kromer mówi o tém: Sędziwoj w ósmym dniu dobywszy Chełma, zaraz też i Grabowiec, Horodło i Sewołosz miasta z zamkami pobrał, a potem do króla (Ludwika) jeszcze Bełz oblegającego wrócił się (1). Zejller piszący roku 1663 uważa zamek grabowiecki za niezdojty prawie: »Grabonia, verbs ligno exstructa in ampla planitie sita, arcem et natura et arte munitissimam habet, et fere inexpugnabilem. (2) Zrujnowany od lat wielu odbudował własnym kosztem Stanisław Sarbiewski Starosta grabowiecki, za co r. 1658 wypuszczono mu wieś Miączyn w posiadanie emfiteutyczne na lat sześćdziesiąt (3). Po takowém odbudowaniu aby na nowo do ruiny nie przyszedł, Rząd wcielił był do jurydyki grabowieckiej dobra Witków, Mądryń i Kopyłów; roku jednakże 1662 przyłączenie dzierżawy Witkowa napowrót odwołano. «Securitas y

(1) *Kroniki* księga 13 str. 330. *Descriptio Poloniae etc. Andr. Cellarii* str. 338.

(2) *Nova Descriptio Regni Poloniae etc. per Mort Zejllerum a MDCLXIII Vlmac.*

(3) *Volumina Legum* Tom IV. str. 564.

armata zamku Grabowieckiego ma zostawać pod zawiadowaniem Grabowieckiego Starosty.» (1).

Władysław książę Mazowiecki przywilejem na dniu 6 Stycznia 1447 r. w Sokalu datowanym, wiele dobrodziejstw dla miasta Grabowca nadał, jakto: Sądy prawa magdeburskiego z mocą karania złoczyńców, wyjmując przytém tutejszych mieszczan z pod władzy Wojewodów, Kasztelanów i Starostów, targi dniowe co tydzień, jeden jarmark coroczny, utrzymywanie miar i wag, postrzygalnię, wolne łowienie ryb w stawie, wolny wrąg drzewa na opał, budowle i browary, w lesie okręgu miejskiego, z zabronieniem tylko niszczenia utrzymywanych tamże barci pszczolnych, wolność robienia i sprzedaży piwa wódki i miodu; z zakazem iżby o milę odległości od miasta nikt więcej trunków tych robić i sprzedawać nie ważył się, oraz, iżby żaden kupiec w pobliskich wsiach targów nie odbywał, a wójt bez pozwolenia obywateli nigdy handwójta nie przybierał. Nadał im nadto dwa łany pola Stajne zwanego, na wygon do pastwiska bydła. Za to wszystko obywatele grabowieccy, z zawdzięczeniu, obowiązani zostali płacić corocznie do skarbu, z każdego łanu, prócz dwu wspomnianych, po groszy dwanaście, z domu po sześć groszy pragskich.

(1) *Volumina Legum. Traktat o Starostwach Dunczewskiego.*

Przywilej ten Władysława, potwierdzali następnie:

Zygmunt I przywilejem dnia 20 Lipca 1511 roku w Brześciu Litewskim.

Zygmunt August, 10 Maja 1566 r. w Lublinie na sejmie.

Stefan Batory, 21 Czerwca 1578 we Lwowie.

Zygmunt III, 21 Maja 1593 na sejmie generalnym w Warszawie.

Władysław IV, 20 Marca 1633 w Krakowie.

August II, 13 Kwietnia 1701 r. w Warszawie na sejmie koronacyjnym.

Stanisław August, dnia 2 Czerwca 1764 w Warszawie.

Starostą grabowieckim w roku 1578 był Piotr Cieciszowski, w r. 1619 Samuel Koniecpolski który wiele posiadłości miejskich dla siebie odłączył; r. 1655 Stanisław Sarbiewski, roku 1750 Stanisław Dzierzanowski wojewoda Mazowiecki; roku 1765 Ludwik Wilga ostatni na tym urzędzie najwięcej miasto w obrębach jego ścisnął, i propinację odebrał.

Włodek Ignacy, w dziele *o Naukach wyzwolonych etc. w Rzymie* r. 1780 drukowaném, przywodząc zdania różne pospólstwa o niektórych prowincjach polskich, mówi o Grabowieczonach, iż są nie lękliwi ale nierozsądni.

Tyle, co się dało wywieźć o tem starożytném miasteczku. Po uzupełnieniu dokładniejszych materyałów, w dziele osobném, wyłącznemu opisowi miast i zamków lubelskich poświęconém, i o Grabowcu obszerniejszej wiadomości udzielić nie omieszkam.

S. Z. Sierpiński.



MOJA FAJKA

Marzenie.

*Skończywszy lulkę uradowany
Dopóty dąlbym, dopóty dmuchał,
Dopóty zarem popiołem buchał,
Aż Frengistanu psów, jak kasztany,
Popieklbym w żywym ogniu na cześć Ali
I wytrząsł popiół na tych co zostali.*

A. Chodźko.

Gdyby Starożytni znali fajkę, pewnoby jęj wynalazek jakiemu Bogu, Bachusowi a może Zeusowi przypisali. Bo i cóż może z naszych zwyczajów lub nałogów iść w porównanie z tém cudownem narzędziem? Cóż może z martwych sprzętów prędzęj wcielić się w nasze marzenia i zostać, że tak powiem instrumentem fantazyi? Istny obraz kolei wędrownki człowieka; jak on na świat tak lulka ładowna tytuniem przynoszą sumnę swego życia i nadziei.

Kłęby dymu z razu rozkosznej woni, widoczne, otaczają i bawią wszystkie zmysły i stroją ducha marzeń; zwolna, z żalem rostapiają się kółka i chmurki śród rzeczywistej atmosfery a z ognia zapachu popioł zostaje.

Niech żyje fajka! i Boski jej wynalazca zapewne jaki starożytniej pamięci Brahama lub Autor Sanchuniatonu lub Zend-avesty, bo zapewne tam jej filododzy znajdą początek, gdyby tylko szukać chcieli.

Fajka mój najczulszy przyjaciel, jedyna kochanka, jedyna mię pewno do grobu nie opuści, i kiedy wszystkie zamarły uczucia nie przestanie napawać swą obłoczystą duszą i łączyć ją z chmurami marzeń. Ona pierwsza odbiera me dzień-dobry i ostatnie dobra-noc. I cóż rozkoszniejszego jak myśl kiedyś na polu bitwy, wolno, przytomnie, rokosznie z ostatnim dymem fajki żegnać świat zostawując na nim trochę dymu i dwie garstki popiołu!

Kiedy wracam do domu, znużony dzienną wędrówką i hałasem ludzi, pierwsze powitanie w ciszy odbieram od fajki, z nią pierwsza rozmowa śród dodawania liczb dnia całego.

Była to noc, a zima zazdrośnie przystłoniła załotną barwę ziemi szatą żałoby i śniertelnej, dreszczem przejmującej jednostajności. Ciemno w pokoju, tylko dwójznaczna walka cienia ze światłem skądś z po za granic naszych zmysłów odbitego, to tumanami tarzała się w powietrzu to po ziemi

czołgała. Za kilka chwil pełnia, a blado rumiany księżyc zacznie się swój towarzysze ziemi przypatrywać, tajemniczo jedną połowę swój głowy na wieki zakrywszy.

Siedziałem wśród izby z ogromnym cybuchem w ustach, a kłęby dymu owijały gazową powłoką i cień i światło; ukazywały miniatury chmur, obłoków, drażniąc fantazją, jako tło magiczne czekały aż kapryśny pęczel rzuci na nie marzenia i objawi oczom duszy co dziś drzemie w głębi wnętrza chaosu i huczy tysiącem pomieszanych wirów.

Zuchwała to chętka ukazać północ południowi i tańce cieni księżycowych porządkować przy harmonii kolorów słonecznych. Bo najeczęściej, ła tkliwego dumania jako robaczek świętojański, brylantowo błyszczy nocą, choć w dzień niepozornie szpetny jest; bo ła nocnej tęsknoty wywoła szyderczy uśmiech jasnego dnia rozważi.

Przed wielkim oknem mój kwatery, wiosną i latem szumiał gaj; teraz szkielety drzew dziko chrzęszczały, gdzie niegdzie świeciły z wierzchu białą śmiertelną powłoką śniegu; a nad nimi z przeraźliwym krzykiem chmury czarnych zimy ulubieńców, wron kawek i kruków, walczyły o pierwszeństwo zajmując nocne siedlisko; coraz ich więcej przybywa, jakby orkiestra zimowego wieczoru tą dizharmonią stroiła swe instrumenta do trupiego *requiem* natury.

I duch mój, jak trup, jeszcze zabytkiem rozwa-

gi przygniata się w ciasnych zręczach rozsądku; jak wieko upiora w trunnie. Poczekaj hasła, wnet pękną wrzeczadze i kamienie grobów się podniosą, a koła widm i mar jeszcze się nie zaczęły kręcić w przestrzeni nie objętej niewiarą i rozumem człowieka mędrca. Przyjdzie pora!

Miła woń wagsztafu coraz gęściej mię obejmuje, upaja w oddech z krwią obiega ciało, wznosi, rozdyma, lekko mi, lubo wszystkie zmysły dyszą żywym przejrzystym tańcem dymu. Obrazy ciemnej wewnętrznej panoramy poczynają w jaśniejszych przesuwac się kolorach.

Ognisko fajki błyszczy w dali, iskierka się rozjarza, rozpala, ha! płomień buchnął! Widzisz ten jasny krążek, wśród niego błyszczą cztery oczy skrzydeł, pięknej ciszy nocnej, a pręgowate różowe ciało i czarne dwa różki unoszą się wśród błękitnego wiru dymu. Czerwony słup z ogniska żywy jest kolory tęczy jak wonia południowej kaskady igra z czarnymi płatkami nocy! Patrz! jak się mięszają tysiące małych kolorowych muszek z większemi obrazkami wyraźnie rysowanych postaci. A ten biały kłębek rozwija się, powiększa, rośnie, rośnie, to ona! Julietto! Heloiso! Maryo! Margareto! Maryo!.... białym owinięta całunem, bielszą od trupy błyszczy twarzą, oczy tylko z życiem pożyczyla, lekkie jej fałdy odzienia, dym niemi miota, sama postać nieruchoma, byt jej w iskrze spojrzenia, a bicie pulsu rodzi takie iskry!.... Ten krą-

żek za ciężki, wzbić się nie zdołał spadł i szybko jak kula kręglowa potoczył po posadzce, powiększył się, i nabrał kształtu, wszak to szczątek laboratorium myśli, nieśmiertelności i rozumu, — to trupia czaszka! Jakże zabawnie konwulsyjnym ruchem, w takt na dwóch ptasich nogach, podskakuje bez przerwy, wśród tłumu jaszczurek i roju żwawych robaków, wśród wijących się węży, w samym środku ruchu podskakuje i nie nie płącze— bo ta trupia głowa jest środkiem wszystkiego: co jest, co było i co będzie. — Jej wielkie oczy migają ognistym blaskiem roztopionego złota.— Ha! przez nieruchome zrenice, jak soczewki optycznych okienek, widać nowe światy!

To daleka muzyka z pachnącem powietrzem balu! lśknią sale tysiącem świateł jarzących, posadzka jak zwierciadło, a wśród kwiatów i zalotnego życia wiosny i młodości, przy wesółych akkordach walca wirem migają sta par, rozkoszą oddychających dziewczę i młodzieńców— to oddech karnawału rodzinnego mego miasta, witajcie znajome postaci! Otóż znowu *Ona* pierwszą parą z duszy wesółego mazura. Jaka Boska nótą— słyszałem ją raz na balu, raz wśród bitwy, a jego echo brzmi dotąd w mej duszy!.... ale światła coraz bliźdną — stójcie! cóż to za zmiana w muzyce.... źle strojne— nie, te przeciągłe, jęczące tony — jakiś dreszcz mię przejmuję— A! ten czołgający się odgłos jaskrawej trąby, to pobudka!

Tam już bębny prym wiodą z włórem wystrzałów; ściany sal balowych rozwiął dym prochu— a rzędy tancerzy jaśnieją połyskiem bagnetów malują się krwią! Słyszysz hasło do tańca! to hurra szturm! i elektryzujące wstrząśnienie bitwy napróżno budzi oczarowaną wołę.... Śród jęku konających, ucieka ten obraz przez lasy i czarne bagna, jeziora, w których kąpią się zielone wyspy; a lasy miasta i góry przed wytężonemi oczyma jak stada dzikich ptaków, to jak hułani w ataku!.... coraz dalej.... coraz dalej!

Oto już wieże wielkiego przodków grodu. Witajcie dawni znajomi! Witajcie Piastunki mojego dzieciństwa, a domy i pałace, tysiącem okiennych oczu błysnęły na mnie z uśmiechem, i śród mgły chwiały się przywitaniem wzniosłe wieże. Ale na co te smutne, głuche brzmienia dzwonów? to mrozi przy powitaniu, jakże boleśnie drga serce na ten odgłos, jak struna szarpnięta akkordem śmierci.... Wszystko już umarło! dwa rzędy krwi-stego ognia pochodni oblewało potokiem światła czarną trumnę na wozie; za nią i przed nią rozdzierająca melodia muzyki pogrzebu. Z rozpaczą i zgrzytaniem westchnąłem bezsilnie a wszystko ścichło i śród milczenia i odległego huczenia dzwonów znowu jestem samotny! Jakaż to wściekła boleść po pogrzebie być samotnym, nie mieć nikogo!

Ciemno i głucho tylko w końcach pokoju sły-

szę szmer jak brzęczenie cichego nocnego deszczu; czasem mocniej zahuczy wichry, ale wnet jaskrawe śmiechy go przerwą a wśród szeptów, dochodzi mię moje nazwisko; raz jak odległe, wśród gór wołanie; to znowu jak miły nęcący głos nad uchem w tem, wśród grznotu zaryczy i kilka ognistych węzłów błysnie czarnym przestworem, a znów niemo i cicho!...

Czuje o poręcz krzesła, z tyłu opierające się dwie dłonie, i z boku nad głową nie miłe jak natrętne komary, brzęczą głosy.

Więc dobrego życzę Ci wieczoru, przysuwając sobie (ragie krzesło rzecz czarna, wysmukła postać naprzeciw mnie.

Za podziękowanie proszę siadać; I oba wpadliśmy w zadumanie.

Napróżno się dręczysz, mówił gość po chwili; walka ducha z ciałem jest konieczna i ustać nie może, bo krew wśród czasu i przestrzeni krępuje wolę....

Parno i duszno mi się zrobiło a ogromny Kondor chłodził nas wachlując niezmiersonemi skrzydłami.

Nieznacne jest przejście, mówił dalej, matery do ducha; bardzo to wątpliwe i nieznacne ogniwo łańcucha przyrody.... chcesz ukażę ci je? i uśmiechnął się na widok daremnie tajonej mej radości; z głodu umierający nędzarz znajdzie skarb nieprzeliczony, jednak wola i rozum a za niemi nie-

śmiertelność cicho wyjąknąłem. Rozśmiał się czarny a wskazując mi na ciemnym tle nieba szalejące płaty blado srebrnych chmur szarpiące się na wzajem i lizane wichrem, rzekł:

Słyszysz tę niesforną harmonią! nastrój ją swą wolą i uderz zgodny hymn siły! Oto twoja wola!

Rozłóż mi ciemności głębię na pierwiastki przyzozonatem twój duszy! To twój rozum, i giń wśród lasów i bagien nieznany i przeklęty od milionów dla tego że kostki losu w tej chwili nie wyrzuciły twój liczby! Oto twoja nieśmiertelność!

A wola rozum i nieśmiertelność odbywały taniec trzech graczy z parodją i szatańskim śmiechem wśród ciemności. Ból mnie całego przeniknął z wstydem spuściłem głowę, on umilkł a po chwili z cicha raptownie wyzwał:

Sprzedaj swą duszę!

Wzdrygnąłem się i czułem, że szatan chce mnie zrobić złodziejem abym cząstkę skarbu całej natury zmarnował przez egoizm, z uczuciem więc godności rzekłem sucho:

To za granicą twych łańcuchów i kótek i nawzajem się rozśmiałem.

Ale ci serce sprzedam!

Na próżno jednak, bo kupiec wraz spostrzegł oszukaństwo i widział, że wielkie a czcze było i tylko balsam którym kamienieje życie utrzymywał je w pozornym ruchu. A jak raz gryzącym zepsute oddechem, zrobiło się podobne do Danid

przetaku, napróżno mię szalonego łudziło nadzieją, iż je kiedyś napełnić potrafię.

Cóż więc masz do zbycia zapytał natarczywie i ze smutkiem dowiedziałem się, iż nie mam nic własnego, iż wszystko jako cacko wietkie i martwe.

Kup mój cień! krzyknąłem ze śmiechem rozpacz, jak od owego biednego niemca! Gość błysnął radością i w dłoń uderzywszy odpowiedział:

Masz klucz skarbów świata całego! Oburzyło mię to lekceważenie, a miłość własna obrażona plunęła mu w oczy.

Daj mi, wołałem w zapale, poznać pierwiastek życia, pokaż jak ukraść prometeuszowy promień a i duszę i cień, mój i kilka tysięcy dusz i nieśmiertelność i cień kilkudziesięciu tysięcy mil kwadratowych ziemi ci poświęcę.

Za nadto kosztowny twój handel, zimno odpowiedział to co mi chcesz poświęcić i tak mojem będzie, mówmy jak ludzie światowi nie jak szaleńcy, potargujmy się uczciwie. Dam ci władzę wzroku, mówił znowu po chwili, jak zatrutą strzałą rozniecać namiętność waszej słabiej i ubóstwianej połowy retora pochodzi od mej pierwszej prosto-duszej znajomości Ewy.

Widząc iż żartuje podając tak błachą cenę, nadmiarę się oburzyłem i uderzyłem w twarz zuchwałego towarzysza nocy.

Kondor uniósł się na tumanach ciemności, wi-

dma malały, jaśniej się stało i wśród migających czerwonych błysków znikła czarna postać, tylko głos jej, jak szklanny sztylet w piersiach się pograżył i zimno kolący ból dolegał, od drwiącego przenikliwego śmiechu szatana. Stada nocnych ptaków wśród czarnych gałęzi drzew przedrzeźniały ostatnie echo nocy i zimna a martwa natura witała jasne koło księżyca wypływające się wśród porozrywanych bałwanów chmur. Cały pokój napętnił się światłem, orzeźwił mię i fajka zagasta.

Luba tęskność, wśród pełniejszego oddechu jak po przyjsciu do siebie z omdlenia, rozlewała się po duszy. Ze łzą witałem dawną, miłą, znajomą głowę księżyca co z dziecinną prostotą uśmiechał się jak onego czasu kiedy byłem dzieckiem i bawił i usypiał swemi blondynowemi lokami. Czarowne wspomnienie młodości wszystko inną barwą przybrało i suche rozłogi brzozy i osiny, liściem się przed oknami odziewać poczęły. Bledniejąca jasność śniegu żółkła i z błękitną farbą zimowej nocy zmieszana, majowy kolor przybrała. Z radością bez granic słyszę brzmienia prostych, dziecinnych piosenek i serce zmartwychstać poczęło. Też same ścieszki, także trawniki wszystko jak przed laty, nawet białe kominy naszego mieszkania wśród klombów bzu i akacyi rozkosznie, jak w latach niewinnego rajy młodości spoglądały na mnie.

Objąłem ramionami i siłą ognia młodzieńczej

duży, wielki stary kasztan od półwieku przed domem się wznoszący, całowałem jego omszoną popękłą korę. Choć wszystkie konary uschły i martwe sterczały prócz jednego, jeszcze dość miał życia, aby mię zrozumieć i jego palczaste liście drżały z rozkoszy. W tém jak paraliżem ruszony krew mi się ścięła i mróz drżeniem całego przejął, bom ujrzał drugi swój obraz moje żywe i surowe ja, jak prosto drzewa z błyszczącym toporem w dłoni zmierzało. Ostupiały jakby skrępowany, pozwoliłem mu wdrapać się na wierzchołek wyniosłego kasztanu, na wierzch jedynej zielonej gałęzi. A z powiększoną trwogą ujrzałem, że długie piramidy kwiatów mego drzewa były welinowemi książkami. Zimno mi niby wśród skonania i oddech podskakujący z zamartłym pulsem nie puszczał powietrza. A topór mego drugiego ja taktową miarą uderzał w jęczącą pod nim gałąź drzewa. Widzę coraz bardziej nachylający się konar, słyszę jego żałosne skrzyknięcie, włosy mi powstają i widzę iż co chwila runąć musi z wysokości i zdruzgotać się o twardą ziemię.... a głos mego czarnego kupca, o kilka kroków, wśród krzaków, przeraźliwie ze śmiechem przerywanym śpiewał na wesołą nótę. Nie wierz w nic! Niczego się nie obawiaj! I zostań na wieki.... w tem gałąź już się nachyla, bez nadziei! dokończy z diabelską wesołością, a mój żywy obraz spadał ra-

ptownie na ziemię, już już się chwyta, kiedy ster-
cząca rosła odciętego konaru trafia go w szyję,
odrywa głowę, z łoskotem gromu runęła i głowa
i gałąź kasztanu na ziemię i nim osłupiał, posy-
pała tajemnicze księgi pod nogi. Martwe już
drzewo z resztą wyciągniętych gałęzi sterczało
jak szubienica utrzymując skrwawiony tułów me-
go obrazu. Ale o! dziwy głowa na gładkiej ziemi
nie traci życia! Oczy jej toczą się w dzikich obro-
tach, krwią nabiegają źrzenice, a wśród okropnym
śmiechem wykrzywionych ust bełkocą jakieś da-
wne, własne zapomniane wyrazy. Nadzieja na
przekorę szatana na ołowianych swych skrzydłach
jeszcze mię nie odbiegła i w niepodobieństwo ka-
żąc wierzyć radziła połączyć głowę odciętą z tu-
łowem trzęsącym krwistym deszczem z wysokości
drzewa. Z wytężonemi oczyma wyciągam drżące
rece ku skaczącej mej głowie, a gdy już chwytać
ją miałem, okropnie mię w palce ukąsiła, krzy-
knąłem z bólu....

Bohdanie! co się tobie dzieje! ozwał się znajo-
my głos kolegi, tak późno jeszcze świecy nie za-
paliłeś, już kwadrans, jak wszedłem, wołam na
ciebie, i przebudzić cię nie mogę, choć zdajesz
się nie spać.... Wyjdźmy na świat dziś znowu wi-
dząc pływasz w twych zwykłych szaleństwach.

Prawdę mówisz powiedziałem, chodźmy na wasz
świat ja z niego powracam.... prawdę mówisz le-

piej czuwać jak spać... tym czasem wypalemy po
fajce nim wyjdziem.

Zgoda! nakładaj wagstafem. I kłębami dymu
palniem wiwat za Amerykę ojczyznę tytoniu!

Zgoda! wiwat za Amerykę.

J. B. D.



PAJAK.

Urywki z listów młodego artysty.

A phé! c'est du mauvais genre.

*I ja gdy wspomnę lękam się,
a wstrząsa drżenie ciało moje.
Xsię. Job. Rozdz. XXI w 6.*

Warszawa d. 7 Lipca 18**

.....Jak ci wiadomo nie miałem tu żadnego przyjaciela, o co nie łatwo każdemu, tem trudniej mnie z dziwactwami mojemu; ale co szczególniejsza że przez cały ten paremiesięczny czas nie znalazłem nikogo skimbym mógł szczerze do sytu się nagaść, choćby tylko dla wspomnienia dawnych naszych gawędek. Warszawa okropnie mię nudzi. Wszystko mi tu wydaje się tak zimne, sztywne i bezduszne, iż w czasie upałów dreszcz gotów przejąć serce gdybym je na jaw wyniósł, gdybym je jak ogrodnicy swe rośliny, nie ochraniał przed powiewem tutejszego modnego świata. Sam nie chcę sobie wierzyć czy to jest toż samo miasto,

które po 5letniej nieobecności na nowo powitałem, miałżebym się do tyła zmienić, iż co dawniej uwielbienie dziś tylko ckliwość sprowadza? Zaczynam wierzyć iż oprócz własnej woli jest druga jakby odwrotna strona medalu człowieka, bodaj czy nie ważniejsza. Tak mi dziś jakieś tęskne uczucie całe piersi rozpiera, tak namiętnie wzdycham za tą balsamiczną pociechą twych wyrazów, iż pokonawszy wstręt do bazgrania co fala kałamarka na pióro przyniesie, rzucę ci do wspólnego przyjacielskiego spożycia, chociaż na odpowiedź tak długo—długo muszę czekać. A naprzód opowiem ci jeden ustęp z terażniejszych wypadków dni moich, który nie wiem dla czego, co chwila mi staje przed pamięcią, miałożby to być przecucie? Kilka dni temu odbieram bilet zapraszający do Pani Baronowej *** Znają mię tam tylko z rekomendacyjnego listu; a jak ci wiadomo polecony byłem z dobrej strony to jest jako *un jeune homme bien élevé*, czyli człowiek nie wychodzący z granic tłumu, grzeczny, przyzwoicie ubrany, nie powstający na modę, mający zdolności umysłowych właśnie tyle, ile potrzeba do zabaw wieczornych, a choćby trochę mniej, to nic nie szkodzi, byle nie ani na jedną ani na drugą stronę nie raziło, bo wszelkie odznaczenie to psuje równowagę pięknego parteru kwiatków salonowych.

Pani Baronowa dama nie pierwszej młodości zachowała jeszcze ślady wdzięków które jej wiele

dołączają uroku właściwego tylko Warszawskim gospodyniom zabaw wieczornych. Zbiera się u niej modna młodzież, niedobitki wyższego tonu, a mianowicie artyści i literaci. Przyszedłem zawczasie, zaledwo było osób kilka, prawie sami domowi, znajomy tylko z gospodynią, nie wiedziałem co z sobą robić, przedstawiono mię jednemu, drugiej, trzeciemu, czwartej, kłaniałem się rumieniąc, nie mogąc ani jednego wyrazu znaleźć... Bo proszę Cię odpowiedz mi głośno w dzień bez zarumienienia się lub śmiechu, gdy kto poważnie odzywa się: «Bardzo mi miło, lub przyjemnie poznać W Pana i t. p. resztę patrz w grammatyce Meidingera. I gdy podobne rozmowy toczą się godzin kilka!

Siadłem w kącie i patrzałem. Rozmawiano: po francuzku. Spiewano: po włosku. Tańczono: po niemiecku. Jedzono kolacją; po angielsku; ja milczałem; po polsku. Wreszcie zaczęło się widowisko; wystąpił na środek straszny z wąsami i brodą i długą czupryną poeta i deklamował. Daruj że nie pamiętam o czem, wiem tylko, iż chodził do Nieba, rozmawiał z Panem Bogiem, a potem zjadłszy kawałek chleba z masłem; wstąpił do piekła i danom zaręczał, że tam nie tak źle jak sobie ludzie wystawiają. Potem drugi blady z podsiniałemi oczami poeta zaklinał się, iż lwu paszczę rozedrzeć jest w stanie, iż gwiazdami jako gałkami rzucać potrafi, później znowu jakieś dziecko deklamowało wiersze, nie swoje niby dla do-

świadczenia braci literatów i t. p. Damy dziękowały za zabawę głośno z uśmiechem, mężczyźni sypali estetyczne pochwały, oklaski zewsząd brzmiały, poeci tocząc oczy do koła, spoglądali po sobie potrzásali grzywami, poprawiali czubów, zapewne aby laury nie pospadały, a mnie już brakło cierpliwości; cierpliwości jakiej zapas obsity na długie dni powszedniego życia by wystarczył. Tchu mi nie stało, wybiegłem choć dopiero była godzina 10. Uf! jak cudem uleczony astmatyk pełnymi piersiami zaczerpnąłem wieczornego powietrza. Już lud wracał ze spacerów, tłumy minęły, rzadzi przechodnie, i dniowe światło już zaszło, tylko jeszcze złote krzyże i wierzch kościoła Alexandra rumieniły się odbiciem wysoko czerwieniących obłoków. Czarne aleje brzmiały jeszcze czasem powozami, pragnąłem spokoju, — ciszy, chciałem uciec od zabaw, i biegłem ulicą Mokotowską, która że był dzień powszedni, jako bezludna ku sobie mię wabiła. Za mną tylko huczał co raz dalszy głuchy gwar mrówiska miasta, coraz rzadziej warkną koła na dalekiej ulicy i znów cicho — tylko chyba kilka nót przechodzącej katarynki doleci. A nademną śród ulicznych murów, jak rzeką płyną fale błękitu, i chmury jak duchy złęgo dręczące w dzień ludzi, uciekają na noc z miasta i wielka odwieczna iluminacya myriadami gwiazd zapalała się na pyszną uroczystość nocy.... Gdym spojrział w górę i odkrył głowę cały żar i

niechęc mego życia buchnęły mi do twarzy, jakby duch po promieniach wzroku ulecieć miał w przestrzeń, do swęj rodzinnej kolebki, a tu tylko znudzone kroki tak leniwo śród pyłu mię niosły. Jeszcze jedna iskra woli, a zdawało mi się, iż wlecę do nieskończoności!... tak lekko, tak chętnie bym się wyrwał z objęcia ziemi, aż spojrzę po sobie na ten strój balowy i na nowo całe utraipienie cała nikizemność brudu i błota ziemi z szatańskim szyderstwem przed oczy mi wystąpiła, czułem w tęg chwili męczarnie dzikiego orła któremu by skrzydła obcięto i na zabawkę rzucono dzieciom. O wierz kochany! w tęg chwili jakaś wściekłość, szął mnie opanował, gotówbym rzucić się w sam nurt Wisły, gdyby pod stopami płynęła, gotówbym tarzać się śród błota i pyłu, byle sobie z przed oczu, z przed duszy stracić siebie i te olmierzte cechy mody bezduszej, sztywnęj salonowości!—białe rękawiczki w kawałki poszarpałem.... Oh przekłęcie! stokroć przekłęcie, kto w takich chwilach nie ma przyjaciela, nie ma nikogo przy sobie, ktoby go przyjął i ukoił w swojem objęciu! kto zamiast spółczucia spotyka wzrok ludzi porządnych, ludzi zajętych spekulacją, i zowiących Don Quiszoteryą każdą iskřę przepętnionej miary czucia! Pojmiesz więc łatwo, gdy w najwścieklejszej walce lecąc jak szalony o kilka kroków przed sobą z boku usłyszałem szczera nótę prostego mazura. Nie na salonowej orkiestrze

wycedzone małpowanie tej cudnej muzyki *Wiesława*, ale proste, pełne duszy, wyrznięte od ucha akkorda chłopskiego mazura! Wskoczyłem raczej niż wszedłem przez otwartą furtkę do owego niby ogródka niby szynku skąd się muzyka słyszeć dawała. Całe to miejsce miało kształt trójkąta kilkanaście kroków długiego. Parę drzew z zapłotu zwieszających gałęzie, i kilka obłamanych krzaków koło muru zastużyły zapewne nędznemu kątowi nazwisko ogródka. We drzwiach w głębi parę wschodów wiodło do izby, na wschodach ładna wysmukła dziewczyna siedziała, dla postuigi gości. Do koła długie stoły i ławy zastawione butelkami i kuflami, kilku obdartych ludzi, dalej doróżkarz, baba z obwarzankami, weteran, oto był pozór całego miejsca. Spojrzeli się po mnie i czy mam ci powiedzieć? zawstydziłem się! wstyd mię było mych sukien. Zazdrościłem im w tej chwili obdartych łachmanów, jakby ten frak czarny był jakimś piętnem, jaką nieprzepartą zawadą do połączenia się i zbratania z gminem, ich wzrok wyrzucał mi różność kasty, spoglądali na mnie tak, jak spoglądać musieli Iłotowie na swych dumnych panów idących na Forum! Nie śmiało siadłem na uboczu jak student co pierwszy raz wyrwawszy się ze szkoły chyłkiem wpadnie do kawiarni. Dziewczyna niedowierzając dwa razy się pytała czego żądam, nie pamiętam com odpowiedział, postawiła kufelek z piwem i podała szkaradne cygaro

Zasypiający żydzi nowym na przybycie me ożywieni zapałem, z nową mocą fałszywemi akkordami uderzyli marsza, objaśnięto gasnące i wiatrem miotane długie knoty świeczek i lamp— i ja swobodniej odetchnąłem i w koło się obejrzałem.

Z szynkownią tą graniczy, dobrze Warszawskiej młodzieży znajomy *Wiejski ogródek*, gdzie wyborne raki, kurczęta, kalteszal, miejskie po wiejsku przestrojone służące, szampan a przede wszystkim niemieckie i czeskie koczujące dziewice jako minstrele z arfami, zabawiają średnią klasę naszej młodzieży. I teraz poznałem go po dalekim śpiewie za murem tyrolskie trele i znów jakaś pieśń z Norany z towarzyszeniem arf. Dzika to była disharmonia tych dwóch muzyk; tu żydowska jęcząca basetta nad którą siwa broda i czerwone oczy ślepego starca w takt się kiwały, a obok mały bachur może wnuk jego piszczał na skrzypcach. Tam obok, chłodny powiew wiatru kołysał w powietrzu i śmiechy i niemieckie wyrazy umizgów z drżącemi jękami arfy, co czasem wystrzał korka z butelki szampana przerywał lub głużyły bliższe grube głosy i grubsze jeszcze wyrazy pijanej nędzy i upodlenia. Nad nami czarna noc obejmowała nas jako cementarz, dwa groby gdzie jak upiory pijane trupy bez duszy szukają w napoju życia, bo tylko mur rozdzielał bogatszych od nędza z , a i tu i tam muzyka na kształt złowrogiego szyderstwa szatana migotała się w dźwiękach

śródm ciemności. Bo gdy czasem ciszej i słyhać jak liście drzew szeptać między sobą zaczną, to znów głuży je wrzawa śmiechu dalekich lub bliższych przekleństw. Bo gdy powiew wiatru woń kwiatów i ponczu przyniesie, to je wnet zagłuży zapach wódki i dym prostego tytoniu i odrażający brud nędzy. Dźwięki i obrazki migają nawzajem jako ćmy nocne kręgamy do jasnych kół, co gasnące świeczki zakreślały w ciemności, i ja śle dziłem lot ćmy a coś do ucha mi szeptało— spali się— nie niespali się— to ty— to ty jesteś ha ha! widzieć ogień i niemódz ostrzedz! — ostrzeż sam siebie gdy trącono mię po ramieniu.

Z przeproszeniem Pana, czy nie łaska na kieliszczek gorzałki?

Dziękuję przyjacielu nie piję!

Ale ja piję!— kup mi za 4 ja nigdy więcej nie chcę jak tylko za cztery.... bo.... bo widzisz jeszcze dziś nie czas, spać nie mogę.... nieprawdaż? kupisz mi?

Nie naprzykrzaj się Panu, przerwała dziewczyna, bo cię każę za drzwi wyrzucić.

Oho! za drzwi! albo ja złodziej? za drzwi... tylko za 4 grosze.... i cóż ten Pan kazał dać, słyszysz do miliona fur beczek kontrabassów.... tylko za 4 ja przecież jestem kapelmistrz JW. Szambel....

Nie mógł dokończyć bo z pod drzewa wyskoczył drugi i z przeraźliwym piskiem niby to śmiechem zatknął mu usta i w tył pociągnął a znowu

zatoczyli się na swoje miejsca i siedli gdzim ich z początku nie spostrzegł.

Pierwszy co się domagał wódki, był średniego wzrostu, może czterdzieści i kilka lat liczący człowiek, czarno obdarto ubrany z gołą szyją, twarz czerwona, osłupiała jako maska nieruchoma z której tylko zielonawe iskrzące oczy z ciemnego kąta świeciły. Drugi co go pociągnął był starzec białe miał włosy, drobny i niski, trochę lepiej lecz brudno odziany w frak tabaczkowy z żółtymi guzikami, białą kiedyś kamizelkę i żółte spodnie na cienkich krzywych nóżkach. Twarz jego sucha, blada z ogromnym orlim nosem jakby stary pergamin pomarszczona we wszystkie strony, w ciągłym była ruchu. Gdy się śmiał to usta i oczy zamykał ścisnął i tak rozciągał, iż jak wąskie linijki się wydawały. Wyciągnął plikę papierów z pod pachy i klepiąc po niej dłonią wołał:

Hi! hi! zobaczemy kto wygrał! tylko pójdę do rekursu, a nie to ad interim, bo to nie z rejestru ubogich.

Ale Andzia się nie wróci! jękał pierwszy, gdy mu znów chciał stary przerwać, ratuj mnie Pan od Pajaka!

Hi! hi! jeszcze nie czas, za wiele dziś piłeś panie Erneście.... nie zapominaj się termin prekluzyjny jeszcze nie wyszedł....

Tylko za 4 grosze pozwoli Pan? ratuj mię od pajaka!

Pij przyjacielu, ja zapłacę.

Ja nie przyjaciel, krzychał znowu czerwony zataczając się, wiesz co raz tylko miałem przyjacielu, a powiem ci w sekrecie, że to była śliczna Kremonońska *quartviola*! Dalibóg nie kłamię, ale on już nie żyje.... postawili głupcy przy piecu i pękła! Oho ja miałem i żonę ale nie powiem co się z nią stało. Proszę pana za 4.... ja nigdy więcej nie piję jak za 4 wszakże to dosyć....

Gdy znowu stary przyskoczył, wywijał chudemi rękoma i kureczył i wyciągał długie białe palce i śmiał się przenikliwie i znów go porwał odciągnął i szeptał mu do ucha i włókł jak osiarę do sieci, bo dreszcz mię przejął, gdym słuchał jak czerwony błagał.

Ratuj od pajaka! zlituj się oto już mię porywa, oh ja nieszczęśliwy.... wszak jeszcze nie czas! tylko za 4 grosze!

I wtedy powstała między niemi walka, i straszna dzika niezrozumiana kłótnia, wśród gasnących lamp i śpiącym po ziemi pijaków dwa głosy, jęk czerwonego i ostry śmiech starca bolesny duet wiodły ze sobą, rozbronitem inni się śmieli.— Stary spał, światła gasły, a przy blasku księżyca i szumie drzew po północy w około, już wszędzie było cicho gdym słyszał powieść pijaka.

Urodziłem się daleko od Wrszawy pod słomianą strzechą. Gdy miałem lat 18 byłem silny i pełen wiary u siebie—życie całe przedstawiało mi się jako jeden wielki koncert—rozumiałem i słyszałem melode kwiatów i dziewic, i harmonije burzy i gromów, i jasno w każdej piersi człowieka jak w szklannym zegarze widziałem igrające tony i wdzięki bo to były uczucia; a spojrzałem po sobie i potem w górę gdzie na niebie tysiące gwiazd jako nóty poznaczone na promieniach swiatła podzielone odwiecznemi taktami znaczyły koncert natury—tam wyczytałem moje przeznaczenie i stałem się muzykiem!—Nie ucząc się od nikogo patrząc na świat stałem się wielkim artystą bom zrozumiał i wyrazami i tonami mógł wyśpiewać wzniosły hymn co natura śpiewa od wieków Twórcy! gdym zechciał pod palcami mojemu z méj duszy lały się obrazy dziejów całej ludzkości z wplątaną harmonią dusz których ucho śmiertelne nie słyszy!

Chciałem odkryć Boską Orfeusza naukę ludziom i przyjechałem do Warszawy—

A oni kazali mi się uczyć muzyki z poliniowanego papieru i ze skali chromatycznej co wygrywał stary niemiec z ostrym nosem w trójgraniastym kapeluszu i z harbeitlem z tyłu—ja poznałem ze to był djabeł—ale się musiał nudzić.

Poznawałem nóty co oni nabazgrali, ale jak je poznawać nauczyłem się wtedy zapomniałem poznawać to co Bóg popisał w świecie.

U mego nauczyciela była Andzia - jego córka.

Dziewczyna tak cudowna i dzwieczna jako jeden ton na srebrnym flecie wydany np. m strza. I w jej piersi widziałem nasze życie jako jedną nieprzerwaną sonetę aż do *reggum*, jakiego żaden król niema po śmierci.

Gdybym zagrał komu to co było napisane w jej sercu możeby dusza nie wytrzymała dźwięków r uleciała do nieba. Andzia mię poznała i przystała za wtór do mej pieśni. Uciekaliśmy od starego niemca. I zaczęliśmy chodzić po łąkach i lasach po domach i dworach z pieśnią i śpiewem i życie nasze było jeden duet miłośnej zgody w której i duch i materya stopiła się w jedno brzmienie—tak iżbyśmy razem nigdy nie mogli umrzeć.

Razu jednego przyszliśmy na piękny murowany dwór—było tam kilkadziesiąt instrumentów i ludzie co na nich grali—tak jak dzieci co gadać zaczynają ale ich nikt nie rozumie, bo tam nie ma wyrazów tylko same głosy. P. Szambelan przyjął nas z otwartemi rękoma i Andzia i ja zostaliśmy u pięknym dworze. Ja zostałem kapelmistrzem! Wiesz co to jest być kapelmistrzem! tworzyć, rozkazywać tylu głosom tylu duszom! ja tak długo wzdychałem abym mógł robić do

świadczenia i nauczyć się języka każdego instrumentu i ułożyć słownik aby ludzie mogli je rozumieć i mnie rozumieć! Zacząłem noc i dzieńcały siedzieć—cały rok bez przestanku siedziałem z memi instrumentami a oni głupcy niewiedzieli że ja szalony...

Mój Pan Szambelan bawił tymczasem Andzię i ona jego bawiła... wiesz jak kiedy niewiasta chce utaić fałszywy ton swój duszy to jak muzyk wirtuoz gra na trzech strunach czwartej niedotknie a obcy niepozna że czwarta fałszywa lub zerwana że palce mistrza niedotykają jej..... ale ja raz położyłem rękę na sercu Andzi bo chciałem zjść serca zamiast koncertu nastroić moje altówki i poznałem co się święci..... Już Andzia była zepsuta do koncertu... poszedłem do kaplicy gdzie stały moje instrumenta, spytałem się czy niewidziały czego i przyjaciel mój *Quartviola* wszystko opowiedział—Ha pomyślałem sobie Panie Szambelanie!!—No; cóż tak {patrzysz? to nie krew! to ja piwem zwałałem ręce—O! bo ja dawno już lubię pić! tak jest! już dawno się upijam! mnie jeszcze wieczorem Andzia zawsze do kaplicy u Pana Szambelana przynosiła dużo ponczu dobrego—Pamiętam raz byłem pijany gdy krzyczą powiadają że Pana Szambelana nożem ktoś przebił gdy spał przy mojej.... tfu! tak mię w gardle pali... zapewne który z lokajów zabił... co ja wiem? może strzelec? co mnie do tego ja biedny muzykus!—

wypędzili mię z domu a Szambelan żył i śmiał się a z Andzią ożenił się jakiś pan—może książe—może hrabia—albo ja wiem co mnie do tego—nie prawdaż? Ach! gdybyś ją znał! gdybyś tylko raz głos jej słyszał, jedną nótę, a jej oczy—tyśiąc śpiewów i jedna bez końca melodia bez ritornelli jako dreszcz elektryczny przez ciało przechodził—bo kto raz ją widział ten na głos jej serca na wieki musiał śpiewać i całe życie swe na ten ton nastroić!... ale jak ją szambelan zfałszował to tak jakby dać mizernemu flisakowi Stradivariususa skrzypce nieprawdaż—ale ja wiem co to było—ja ci powiem w sekrecie to szatan—pająk ją złowił... ha! ha! czy nie zgadłem?—Oh pajak to zły człowiek on co tylko wie to powie aby cię zgubić! choćby jaką zbrodnią—widzisz choćby nawet krew na twych ręku to cię złowi i trzyma jak w sieci.—

Ja miałem i synka onby pewnie dograł do końca myśl ojca—ale Quartviola powiedziała mi że to płód szambelana i spadł biedny robaczek z okna na bruk i główkę sobie rozbił—może go kto popchnął czy ja wiem?—O! ja już 25 lat tak piję ale tylko za 4 grosze wszakże to niewiele prawda? to dosyć? co?—

L I S T II

Warszawa dnia 15 Lipca 18*.

.....nie odpisujesz mi kochany! miałżebyś i ty

opuścić w sieroctwie biednego twego przyj ciela
gdy więcej niż kiedy potrzebuje orzeźwienia? po-
zwól się ludzi przynajmniej i pisać do siebie nie
patrzając na jutro—ale daruj kochany tę ufność bo
gdy wszystko dokoła tak czarno i ciemno mój
wzrok spotyka gdy ani jedno spojrzenie nie na-
tchnie mi weselną myśl, wybacz iż twoje piękne
niebo myśli, mem listownym westchnieniem na
chwilę zachmurzę—owa wycieczka w świat pija-
ków drugi raz mię zachuczyła nie mile. Wczo-
raj wieczorem po długiej całodniowej prawie wło-
czędze za miastem wracałem ulicą mokotowską do
domu. Odwiedzałem galeryą w Królikarni. Czar-
ne poszarpane chmury wisały nad miastem, i py-
szny odległy grzmot huczał nad naszym Babilo-
nem. Krwisto ogniowe węże przelatywały po prze-
stworze, lizały ziemię i lśniącym grobowym świa-
tłem oblewały i mury szczyty gmachów aby znów
gruby całun ciemności zarzucić na wszystko—Bu-
rza co chwilę się wzmagala i deszcz lunął potoka-
mi po pustych ulicach a grom po gromie rozległ
się w echu miasteczka. Była godzina 10 gdy mija-
łem furtkę owego ogródka a czas ten wieczorny
w jednym mgnieniu przywiódł mi cały obraz przed
oczy. Pusto tam i ciemno było—uciekałem dalej
aby od myśli uciec gdy o kilka kroków pod latar-
nią trąciłem o jakieś ciało człowieka leżącego
w rzeźfoku; spytałem się schyliłem.

—Tylko za 4... więcej nie pije... dziś dosyć?...

Pokonałem odrazę, litość zmusiła do podniesienia go. Ulewny deszcz i chłód orzeźwiły go cokolwiek—rzekł iż idzie do domu i prosił aby nie opuszczać—mimowoli zwłaszcza w jedną idąc drogę prowadziłem go. Przynajmniej nieusposobionego do rozmowy wyręczył mię i gadał przez całą drogę.

—Widzisz! mówił taka burza to także koncert! Ocho! ja kiedyśbym lepsze wydawał koncerta! bo po mojem koncercie choć na niebie pogoda to na ziemi stokroć piękniejsze i burze i gromy by ryczały..... bo ja kiedyś byłem szczęśliwy—dali-bóg nie żartuję.. bodaj mie milion... roztrzaskał... byłem szczęśliwy—O! ja miałem i żonę, nazywała się Andzia ja to chciałem wygrać—ale już dawno nie gramat, już 25 lat—ale piję tylko po trochu za 4 grosze czy to wiele?—Ale uciekajmy!—oto widzisz jak pałace zaczynają tańcować a tamta duża kamienica obces na nas leci.... uciekajmy bo roztratuje!... Ha! ha! a kopernik wlaźł na kamień krzyczy hier! jaki z niego tęgi kominiarz ktoby się spodziewał! Ocho Panie! całe miasto tańczy—ja mieszkam na ordynackiem odprowadzisz mię do domu? nie prawdaż? bo ja się sam siebie lękam, nie lubię sam być ze sobą?—a ty jak? ja ci to nagrodzę przyjdź jutro do ogródka—opowiem ci jak układać muzykę, a świat klęknie przed tobą.... Bo wiesz ja temu lat 25 wynalazłem Boską sztukę ale oni mnie nie rozumieli i zawołali pijak! wa-

riat!.... ach żebyś wiedział co to za piekielne mę-
czarnie opowiadać w dzień i w nocy, bez przestanku,
jaką wielką prawdę, jaki cud wcielony, i spotykać
tylko szyderstwo i plują ci w twarz! i dziwić się
i uciekać się że oni tego nie widzą! u! jakże mi zimno—
ten deszcz!—Wiesz co gdyby kolumb, gdyby nie odkrył
Ameryki, gdyby go nie chcieli słuchać, gdyby nie było
Izabelli byłby się rospił—byłby chodził do ogródka za
4 grosze!—ale to gorzej w świecie ducha! widzieć nową
krainę dotykać się jój a oni mówią szalony! i depcą cię—
oh to wściekle od lat 25.....

Moja Andzia zgubiła mi, tylko kamerton bo ja cię
nauczę, tylko est! żeby nas kto niepodstuchał bo
powiedzą szalony i ty nie uwierzysz..... Otóż to cała
sztuka, cały sekret na strojeniu—oni głupcy stroją
prosto jak napisano, myślą że dźwięki i farby to
rachunek gospodarski i stroją tak: mi, mi, fa, fa, sol,
sol, a tu trzeba o pół tonu lub o ton cały wyżej....
oni powiedzą że fałszywie ale niezważaj....

Ty lubisz muzykę? czy kochasz ją? czy tak jak
wszyscy jak poezją i fajkę po obiedzie dla strawności—
bo to zdrowo? czy jak modlitwę? czy do tańca? ha! ha!

Opowiem ci jak urządziłem mój koncert—naprzed
dwie *kwartwiole* nauczyłem co mają gadać zamiast
grubego burczenia dałem im wdzięczne *soprano*
jako jęk bohatera konającego...

śpiew natchnienia, śpiew Boskiego poety miała *violoncella* bo ona jedna do tego zdolna — Chór dziewczic były flety — a trąby chórem ludu. — I zagrałem im koncert tak: Naprzód była wisząca burza — potem rozlało się z nieba uczucie i uznanie grożącego gniewu Bożego — radość i zapach wzniesił śpiew ludu zmieszany z krwawą bitwą — ale gdy miał hymn zwycięstwa zagrzemieć z *Te Deum* — wnięszął się chór, 3 szatanów i chór szatański spariadiował wszystkie melodie. —

Gdy się finał odgrywał bałem się aby nie skończyć — bo zdało mi się że ta muzyka 20 milionów nót co należały do mego koncertu zabije wiele! wiele! ale patrz, ja — mam już ręce czyste —

Otóż ja pisałem koncert w języku Chryzostoma Paska a oni zwołali czeredę, włochów, niemców i francuzów i wszyscy się śmieli ze mnie — Bo ty nie wiesz co to muzyka włoska! ja ci powiem! Oto jak na tytułowych kartkach nót lipskich tak nasztychują cacek i gzygzaków i esów floresów że za tém nikt pisma niedojrzy tak ich muzyka — To wszystko kuglarze, szermierze, tam za 4 grosze nie ma melodyi a oni to rozcieńczą na cały koncert, tfu! A nasze miało być poczciwe, wyrabane i poważne jako gotycki druk co Łukasz i Marcin i Rej swe pisma w krakowie drukowali... oni wariaci nie ja, gardzili oni językiem — ja niemi gardzę! — ach jaka to męczarnia 25 lat opowiadać prawdę ...

Ale co to jest! Och Boże!.. ..

Krzyknął raptownie, potarł dłonią czoło, zakrył twarz rękoma i drżał. Zdało mi się że jakiś okropny ból czy sroższe jeszcze szalone wspomnienie go uderzyło, sam byłem przerażony gdy porwał mię silnie za rękę i mówił—Ja nieszczęśliwy! zdaje mi się że się zupełnie wytrzeźwił.... ach zlituj się może jeszcze jaki szynk otwarty—Dla Boga! patrz tu, tam się jeszcze świeci, chodźmy, biegnijmy, kup mi wódki!

Ostępiałem, stanąłem gdy on padł na kolana objął moje nogi.

—Och! na miłość Boga! na miłość tego co masz najdroższego w świecie lub w wspomnieniu lub w nadziei. zaklinam cię, doprowadź mię do szynku, abym się na trzeźwo spać nie położył—zlituj się tylko prędko! coraz więcej trzeźwieję—tylko za 4 grosze—och! to okropna chwila! od lat tylu nie byłem sam ze sobą—a teraz nad grobem mam być trzeźwy—jeśli masz czucie człowieka zlituj się, bo powiem żeś ty moim szatanem i tu u nóg twych czaszkę sobie roztrączę—tylko 4 grosze a ja nie mam ani jednego!—

I dociągnął mię czołgając się do najbliższego wódczanego sklepiku którego drzwi były na wpół uchylone jeszcze—dałem mu odwróciwszy twarz woreczek z pieniędzmi porwał go i wpadł jak szalony. Czekając na ulicy chrapliwy głos jego słyszałem.

Purza już ustała, tylko zdała jak po skończonej bitwie głuchy grzmot się rozlegał i rzadko już wieże St. Krzyża i czarna postać posągu kopernika olbrzymio podwojona ognistym połyskiem drgały. Woda w rynsztokach z szumem się toczyła z resztą cichość zupełna gdy on powrócił z szynku, oddał mi woreczek z pieniędzmi i rzekł spokojnie z uczuciem dreszczem przejinującym.

— Niech Ci Bóg nadgrodzi! — Obyś upiwszy się raz nigdy już nie wytrzeźwiał! Bo to nieszczęśliwy, piekielny jest stan — kto raz się upije a potem trzeźwo życie kończyć musi, ten bodaj nie rodził się — Bo widzisz tylko za 4 grosze pić trzeba, to nie wiele — ja mam już dosyć — Oto słuchaj — u was tam na świecie upijają się miłością — sławą — naukami — znaczeniem — potęgą — ale to wszystko, klę się duszą moją niewarto 4 groszy widzisz i ja kiedyś byłem człowiekiem! ale ja urodziłem się pijany geniuszem a oni doprowadzili mnie do wódki! Ocho! ta Andzia! — ale to wszystko jedno tylko się jednej rzeczy boję — zgadnij? Pajaka się boję.... brrr!

Jeszcze tam coś mruczał pod nosem gdym go puścił pod nędzną chatką Alexandryi ulicy gdzie mówił mi że mieszka.

Zamyślony ze ściśnioną piersią przywlokłem się do samotnej mej izdebki aby ulżyć sobie napisaniem tego do ciebie — bo zresztą pewny jestem że

czasem w szarej godzinie odwiedziś myślą biednego twego brata przyjaźni.

LIST III.

Warszawa d. 20 Lipca 18*

..... on już nie żyje! i szkoda że żył, kiedy szkoda dla drugich i dla duszy swojej! biedny nędzarz, muzyk, moja szalona znajomość pijaka, już skończył swoją ziemską 4 groszową zwrotkę! — Przedwczoraj przechodziłem z rana z ulubionego mi miejsca przechadzki z gór denassowskich przez ulicę Alexandryją gdym przed znajomą tą chatką spostrzegł tłum zbiegającego się ludu — wspomniłem iż tam mieszkał — jakieś tękne uczucie popędziło, przedarłem się śród ciżby nędznej obojętnej zbiegłej tylko przez ciekawość i.... nie niepotrafię przezwyciężyć się i opasć Ci tego com widział. Wnet i polieya nadeszła wypróżniła się stancyka — ostupiały stałem tak chwilę, cała podłoga zapełniona była mnóstwem nót podartych popalonych, szukałem, przewracałem ani jednego świstka na którymby cały takt wyzcyać można, tak były zniszczone — świeże to było przedśmiertelne zniszczenie jedynej myśli jego życia. —

Urzędnik policyjno sądowy, przepisywał ze ściany kredą nie wyraźnie nabazgrany napis — pomogłem mu odcyfrować — i spamiętałem go dosłownie:

«Od lat 25 pierwszy raz cały dzień byłem trzeźwy—okropna myśl! trzeźwy zupełnie! czczość w głowie, w piersiach zabita mię—uż mię wszędzie znają nigdzie jako pijak wyzebrać nie mogłem - a nie miałem nic własnego co by było warte 4 grosze! taki dzień musiałbyć koniecznie dniem méj śmierci!»

Wyszedłem. Przekupka mówiła do drugiej—
O! pijaczysko, szkoda że nie pierwój—już kilka lat j k tu siedzę blisko ze straganem, dzień w dzień widzę jak rano wychodzi; powraca wieczorem zawsze pijany—a człowiekowi dobrego słowa nie da jakby gadać nie umiał—psia.... dobrze że się raz powiesił.... mówią że to szczęście dla nas sprowadza, chodźmy go zobaczyć.

Cały ten dzień byłem jak zwarzony. Siadłem do pracy, napróżno—kolory się mieniły kontar tańczył i mazał i zmieniał cienie a wszystko się krzywiło jakby każda kreska drgała konwulsją szyderstwa i boleści—To łyzy to śmiech niewczesny tańczyły kołem przy mnie. Dziś chwata Bogu lepiej—tęskno tylko - tęskno bo nie mam nikogo na czyimby łonie wylał boleść zebraną i ktoby mię od zabójczego śmiechu ludzi osłonił.

Ty przynajmniej częściej i więcej pisz do twego pierwszego przyjaciela.

P. S. Ale, ale! w téj chwili przechodziłem obok mieszkania pani Baronowej*** u której od owego wieczora nie postaćem. Osądź moje zadziwienie gdym ujrzał tego starca siwego w brązowym fraku

owego towarzysza nieszczęsnego muzyka jak wychodził z Pałacu. Przystępuję do Szwajcara [w bramie, wsuwam mu w rękę pieniądz (bo inaczejby nie odezwał się) i pytam co to za człowiek?—

—To stary pijak i pieniacz — co tydzień przychodzi do Pani Baronowej po wsparcie — ludzie mówią w sekrecie że jakiś daleki krewny samój Pani, i że kiedyś znał ją bardzo blisko.... kiedyś miał być Szambelanem — dziwak wielki zowią go powszechnie pijakiem.... Nie mogłem więc słuchać bo naprzeciw nas z drugiej strony ulicy szyderyczy i ostry śmiech starca obił się o uszy moje i spostrzegłem przenikliwe i czarne oczy jego, i jakbym czuł jak chude palce śród żeber mi pogrąża.... nie oglądając się wtył, uciekłem co tchu starczyło.

J. B. Dziekoński.



DLA UBOGICH.

Jestechmy barzo podobni ku onym spróchniałym ścianam które bywają po wirzchu kęs owym cienkim malarskim złotem powleczone, pod którym złotem niemasz nic jedno szpetne drewno.

Mikołaj Rej

Olbrzymia jest ziemia, i gwiazdy, i słońca,
I toczą się, grają, te światy bez końca,
A środkiem rzucony jak wątki listeczek,
Znikomy, malutki, uwija się człeczek,
I ile drobnemi obejmie oczyma,
Ukocha, polubi, na własność zatrzyma.

Więc po co myśl chmurzyć, rozmyślać i badać,
I pełne rachuby nadzieje zakładać;
Wszak życia poranek na grobie zakwita,
I wieczór cię zimna śmierć naga przywita,
I szczeriej ci prawdy zaświeci zwierciadłem,
I czyny ponurym przesunie widziadłem:
Nie lepiej w śmiech ubrać i lica i czoło,
I dłonie podawszy swobodnie, wesóło,

Szerokim gościńcem krótkiego żywota,
Jak każe powinność, sumienie i cnota,
Z prawemi uściski, bezładnej miłości,
Z stępować do truny odchłani wieczności-
Spójrzycie na kwiaty gdy z brzaskiem jutrzeńki,
Roskoszne liliowe rozwiną sukienki,
Gdy z barwą tysiąca, i wonią tysięczną,
Tulipan schylony nad różą miesięczną,
Dziewicze jęć łono z roskoszą całuje,
I pieści, ochrania, i życiem jęć czuje,
Dopóki chwilowych roskoszy uniesień,
Burzliwa i smutna nie przerwie im jesień,
Spójrzycie jak dęby olbrzymie stateczne,
Zaplotły konary w uściski serdeczne,
Że tylko krwi trzeba by nieme to ciało,
Przyjaznym uczuciem ku bliźnim pałało.

A człowiek samolub, do zysku tej ziemi,
Przykuty uczuciem, siłami, wszystkiemi,
Rozerwał to łono przyrody zakątek,
Skarbnicę światową przedwiecznych pamiątek,
Dla zysku marnego, by zbyt niem swym mieniem,
Być światu ubogich złoconym kamieniem.

O! można żyć blaskiem, świetnością i tłumem,
Lecz z sercem uczciwym, zgodnością rozumem,
Cóż z tego że nędzarz zgnieciony cierpieniem,
To myślą go podnieść podzielić się mieniem,
Bó pielgrzym tej ziemi wstał z prochu nie złota,
I dzisiaj wzgardzoną gdy wyjmę z pod błota,

Ubogą dziewczynę, niech w małej iskierce,
Tli zaród dobrego otworzę me serce,
I oddam połowę uczucia, godności,
I słownej światowej wyuczę miłości,
I oddam salonom z tym modnym zepsuciem,
A świat ją wzajemnym przywita uczuciem.

Bóg wszystkich obdarzył sercami i duchem,
Nie wszystkich los złotym powiązał łańcuchem,
Gdyś mały, to w małym niech praca zakresie,
Do domu spokojny dobytek przyniesie,
Gdyś wielki, to uczuj ludzkości potęgę,
Rzuć blaszki złocone, wdziej prostą siermięgę.
Żyj sercem Chrystusa i jego ludzkością:
Bądź światu nadzieją, uczuciem miłością,
To może przetrwawszy zawieje i burze,
Utoniesz pomięcią w bezśmiertnej naturze,
I mocą geniuszu pod skrzydłem opieki,
Przeczekasz tysiączne zdarzenia i wieki,
Bo sercem kto czuje, choć imie zaginie,
Odżyje w potomnych pamięci i czynie.

Soweryn Filleborn.

Z MELODYI LITEWSKICH.

Księżyc krąży w niebios fali;
A rzeczka płynie przez błonie,
I czule się pokochali,
Księżyc w sercu rzeczki tonie;
I miłosne złote skronie,
Na kochanki złożył tonie;
I kochanki pierś wzruszona,
Falą westchnień uroczystych,
I twarz biała zrumieniona,
Od jego spojrzeń ognistych,
W fali westchnień, w grze rumieńców,
Co ich wajem krasi lica,
Widzę szczęśnych ulubieńców,
I łzą błyszczą mi zrenica,
Bo gdzież złożę moje skronie?
Gdzież westchnienie, wzrok polecą,
Gdy polecą — czy zaświecą?
Jako księżyc w rzeczki tonie!—

Dorpat E. Zeligowski-

TESKNOTA.

Jak mi tuż ciężko.... chciałbym jednym skokiem
Wzlecić uad gnuśny obszar; łzami zlanej ziemi
Wzlecić.— wzlecić wysoko.— i po nad obłokiem,
Zostać tylko z mą duszą, i z myślami memi!—

Na myśli i uczuć fali,
Latać, pływać,— łzawém okiem,
Patrzeć na tych co zostali,
Stać się myślącym obłokiem.
Obłokiem wyższym nad chmury,
Myśl człowieka i natury,
Zamknąć w sobie i zespoić.
Ogniwami wyższych światów,
I łono miłością poić:
Potem łunąć deszczem kwiatów,
Po nad ziemską tchnących wonią,
I nad brudną czerni skronią,
Godniejszym zabłysnąć wieńcem,
I dziewiczych lic rumieńcem.
Niech się ich lica rozptonia —
Lub na różowej wstążeczce,
Jak miłosny rzut zrenicy;
Spływać w gromu kropeczce,
I rostaczeć blask gromnicy.

Jak to miło, jak to błogo,
Nieugięty, niewstrzymany,
Głazy, lody, strząsać nogą,
Gdzie? — i po co? — niepytany —
O! gdyby we władzę gromu,
Kroplę ludzkiej myśli wcielić,
Po tém uczuciem wystrzelić,
I na gruzach trupów łomu,
— Tak jak z piersi roztrzaskanėj,
Gdy nieszczęść dojmie tysiące,
W objęciach chwili czekanej,
Witać jasne, żywe słońce.

Edward Zeligowski.

DUMKA.

Przygniótł chęci ciężar losu,
Tak mi w duszy przykro, smutnie,
Pragnę pieśni; chwytam lutnię,
Jój tkliwego słucham głosu,

Burzo, niechęć wichrów twoich,
Bo z kolebki w burzy wzrośtem,
Po co wskrzesać co już zniostem,
Przyjaciołko uczuć moich,

Pójdź do oka ciężko jedna,
Tak mi ciężko, przykro, nudno,
Pójdź do oka ciężko biedna,
Bo tak dłużej zostać trudno,

Ot i cicho, zmiłkły struny,
Cicho, ciemno. niby w grobie,
Tylko wiatry burz zwiastuny,
Dziką piosnkę grają sobie,

Tylko miesiąc z chmur wygląda,
Siejąc światło drżąco płowe,
Na młodzieńca patrzy głowę,
O coś pyta— czagoś rządu,

Innym miły cień bladawy,
Co jaśniej w zorzy brzasku,
Łsuąca rosa nad murawy,
Ziemi anioł w świetnym blasku,

Lecz gdzie smutek pokrył lica,
Oczy gorzką łzą spłynęły,
Tam nadzieje zagięły,
I przedmiotem — nie dziewica

Tamój słaby dzień wesela,
Nie rozjaśni duszy biędnej,
Tylko wiara przyjaciela,
Uczuć jednych — myśli jednej. —

Lenartowicz.



WOJCIECH PIASECKI. (*)

Mówić o talencie i godności człowieka którego świat mało pojął i rozumiał, o talencie zapomnianym po śmierci, o obojętności ziomków, o marmurowym pomniku, byłoby rzeczą zbyt starą i zwyczajną: lecz ile wiek mój i doświadczenie pozwoli, o ile uwielbienia czuję w mojem sercu, godności w myśli, talentu w wyobraźni, Tobie szanowny cieniu poświęcam

Człowiek obdarzony iskrą geniuszu, któremu natura dała cząstkę działania i potęgi, nawet w małym zakresie cichego domowego pożycia, jest przyjemniem, głową towarzystwa: czas, przypadek, często zdanie ludzi, pokazują go światu, w fałszywym, lub prawdziwym świetle.— Talent obdarzony mocną stałością rzadko daje się pokonać ostatniemu. Żyjąc sam w sobie, działając i prawdziwym uczuciem, mało zważa na szydlercze

(*) Urodził się dnia 1 Kwietnia 1802 roku w Miescie Grzegorzowie w Mazowieckim — z rodziców Walentego i Maryanny, z Zasadzińskich Piaseckich, początkowe nanki pobierał w szkołach Obwodowych Łęczyckich, a skończył w Warszawie u X X Pijarów. — w 19 roku wystąpił na scenę publiczną 15 Sierpnia 1821 roku w roli Barona Rutwen w dramie Upiór.— umarł dnia 8 Stycznia 1837 roku.

głosu mędrków spektatorów: on wziął uczucie sam z siebie, w sobie je wykarmitł, wypielęgnował z niem w samotnych chwilach życia rozmawiał—niestosujem tego do ś. p. Wojciecha Piaseckiego, zawód jego był dosyć pomysłnym, przyjinowano go jako artystę w braku innych najlepszego, ob-sypywano pochwałami, oklaskami, do chwili śmierci, lecz to było uwielbienie chwilowe, uwielbie-nie pięknej gry, męczarni trzy godzinnej, wieczornego zadowolenia,— kto przelał w świat u-czucia, całą moc talentu z uszczerbkiem zdrowia i życia, uczuciem winien byđz nagrodzony, do-tąd tego nie widzieliśmy.— Bolesną nam jest pa-miątka zmarłego, tém boleśniejszą że żadnego nie-widziem *następcy, naśladowcy*, są w prawdzie talen-ta, wymieniać nie chcemy w których się odbija *cięż* ducha Piaseckiego *ale przytłómiony zmianami Don-kiszockiej mody, mdlą pieśczołliwą przesadą w wymawianiu która zamiast dodać wdzięku prze-raża myślącego człowieka*, i takiemi to słowami będzie mówił Edgar Rawenswood młodzieniec z hartem duszy pełen szlachetnej dumy i ognia, takie-mi Jaromir wspomni zamordowanego ojca — każ-dy dar, talent, powinien nosić na sobie cechę na-tury, szlachetnej prostoty, pełnej słodyczy i go-dności, zmarły artysta posiadał to w wysokim sto-pniu, przyjemny i prosty w towarzystwie, bez naj-mniejszego cienia przesady, lubiony uwielbiany na scenie, przejinował rolę dla siebie, z całym zapa-

tem i sztuką, wcielał się w nią, całym duchem, oddawał z całą mocą i namiętnością — ostatnie jego wystąpienie w Matce rodu, było ostatnim dniem jego tryumfu, cała boleść namiętnej duszy zgniecionej zbrodnią i cierpieniem widna była na jego twarzy, zdało się że siły człowieka, takiemu wzruszeniu takiej męczarni nie starczą — może to było i ostatnie wysilenie talentu, którego zdawał się co dzień w nim powiększać, pomnażać, kilku miesięczna słabość następnie śmierć, wydarły nam nigdy nieoszacowanego artystę, jakiego dotąd nie mieliśmy na scenie, a może i długo mieć nie będziemy. Gdyby można przywołać całą moc wyrażen i uwielbienia, byłoby to tylko małą częścią należną tobie szanowny cieniu: setne myśli zwrócić do jednego celu, setne serca rozrzewniać i zachwycać, z setnych oczu łzy wycisnąć, wstrząsnąć duszą twoim było dziełem. — Tyś był panem uczuć i wrażeń każdego, podług swjej woli umysłys podnosił i naginał, z młodzieńczą tkliwością pełną męskiej duszy przelewałeś w serca ulubionj wyrazy miłości, tyś słodyczą brzmiącego głosu napawał rozkoszą duszę słuchacza jeżeli pamięć twojego talentu, pamięć wrażeń któremi przejmowałeś mogą być małą nagrodą - ja to poświęcam; z całą szczerością z całym uczuciem silnego uwielbienia z jakim jestem dla Twego talentu, i Ciebie.

B. S.....

KILKA UWAG NAD DZIEŁEM.

Zasady botaniki i Fizyologii roślinnej ułożone według dzieła A. Richarda przez S. Pisulewskiego
Mag. Fil. Warszawa 1840

Od lat wielu, pisma w przedmiocie nauk przyrodzonych zaczęły być bardzo rzadkiem zjawiskiem w literaturze naszej, szczególnie zaś Botanika, która nigdy nie była w Polsce w bardzo kwitnym stanie, a w ostatnich czasach prawie zupełnie zaniedbaną została. Prócz kilku elementarnych dziełek, kilku rozpraw i prócz pary słowniczków, co wszystko mogło być bardzo dobrém w swoim czasie, ale już teraz nie jest wystarczającym, nie mamy w tej ważnej gałęzi nauk. Z tego względu potrzebne było dzieło przedstawiające stan terażniejszy Botaniki. Wydanie jej zasad przez P. Pisulewskiego, zdało się odpowiadać powszechném życzeniom. Na nieszczęście, jest to tylko, prawie wszędzie dosłowne tłumaczenie połowy dzieła Richarda, z dodatkiem krótkiej historii Botaniki tłumaczonej z Alf de Candolle.—

Praca ta bez wątpienia wielkie może przynieść korzyści, nie takie jednak, jakieby mogły wypty-

nać, jeżeli nie z napisania oryginalnego, to przynajmniej z tłumaczenia lepszego dzieła jakim jest np. *Introduction à l'étude de la Botanique, ou traité élémentaire de cette science, par Alph: de Candolle* 2 vol. Paris 1835. 8.—, które dotąd jest uważane powszechnie za jedno z najlepszych, jak tego dowodzą liczne przekłady na inne języki.— Dzieło Richarda zawiera w sobie bez wątplenia wiele pięknego i może być bardzo użyteczne we Francyi, gdzie niedostatki jego mogą być wynagrodzone w tylu innych tam wychodzących pismach lecz dla nas wcale nie jest wystarczającym tém bardziej, że od wyjścia jego lub nawet i wprzody wiele zrobiono odkryć, nowszych teoryi, szczególniej w Niemczech, o czém w wydaniu polskiem nie ma ani wzmianki. A wszakże nie byłoby to żadnym wykroczeniem i dzieło mogłoby zawsze zostać przy tytule:» ułożone podług Richarda.— gdyby P. P. wyrzuciwszy niektóre dawne fałszywe opisy, przytoczył natomiast nowe.—

Przedsięwziąłem tu zastanowić się nad niektórymi bardziej uderzającemi punktami tego dzieła podając moje uwagi pod sąd światłych czytelników.

Pomijam niestosowność samego tytułu, który chociaż był dosyć używany we Francyi, nie jest jednakże bardzo do naśladowania, gdy podług definicyi autora co jest Botanika i jak się dzieli, za-

wiera w sobie znaczenie naprzód całej nauki, a potem jednej szczególnej onéjże części.—

Żałować należy że P. P. nie zrobił żadnej przedmowy, w którejby np. uwiadomił czytelnika, dla czego tak ściśle trzymał się Richarda, że nie poczynał odmian ani dodatków prawdziwie potrzebnych, a jeżeli gdzie odstąpił od oryginału to w sposób najniestosowniejszy, jak tego dowodzi między innymi artykuł o otworku (micropyle) Dalej dla czego téż nie ułożył rejestru, któryby był znaczném ułatwieniem dla początkujących, kiedy znalazłszy w ciągu dzieła wyraz jaki nieznan przy którym nie ma definicyi, mogliby ją łatwo znaleźć w właściwém miejscu za pomocą rejestru. Dla czego umieścić wykazy różnych części roślinnych używanych w Medycynie, bez czego można by się w zasadach Botaniki obejść. Dzieło Richarda w oryginale, zastosowane jest do medycyny, dla tego zawiera powyższe wykazy i jeszcze inne niektóre uwagi, lecz za to wiele téż w niem nie dostaje rzeczy w Botanice czystej niezbędných; wydanie polskie nie zdawałoby się mieć podobnego celu, skoro P. P. nic o tém nie wspomina w tytule. Nakoniec dowiedziećby się można, dla czego opuszczoną została literatura botaniczna która byłaby bardzo użyteczna, wskazując mniej świadomym lepsze dzieła — równie jak i wykład naturalnych familii, stanowiący drugą część dzieła Ri-

charda, a czego jeszcze w polskim języku zupełnie nie mamy.—

W anatomii roślinnej widzimy bardzo niedokładne opisanie naczyń. Myśl o ich metamorfozie nie rozwinięta, owszem prawie nietknięta, warto przecież było wspomnieć o teorii, która łącząc postrzeżenie pojedynczych form w jedną myśl ogólną daje nam wyobrażenie o działaniu siły organicznej w roślinach.—

Co do funkcji naczyń grajcarkowatych nie tak powszechnie jak mniema autor przyjętą jest bytność powietrza w tychże. Link a z nim wszyscy jego zwolennicy, utrzymują nie bez dowodów że naczynia grajcarkowate służą do zstępowania soków, (Patrz Elem: Philos: Bot: Link: 1837 edit; altera.)—

Podział włosków na gruczołkowate, wydzielające i limfatyczne, czyli raczej definicyą tych trzech rodzajów nie jest do zrozumienia, bo rzeczywiście podług niej włoski drugiego rodzaju należałyby także do pierwszych.—

Przy opisaniu zarodka w nasieniu korzonek (radicula) nazwany jest częścią dolną, piórko (plumula) górną. Jest to zupełnie nie właściwie, gdyż położenie tych części w różnych familiach jest bardzo odmienne. Tak np. w roślinach mających zarodek prostobiegły (cembryo orthotropus) korzonek znajduje się w górze, w innych na bokach &. Położenie zaś od autora wymienione przybiera zarodek, dopiero po kiełkowaniu, kiedy go już nazywamy roślinką (plantula) i uważamy w stosunku

do ziemi, a nie w stosunku do pokryw jejonasiennych.

Niedostatek pewnych organów w roślinach nazywa autor *przypadkowym*. W tym razie grzeszy przypuszczeniem przypadkowości, w organizacyi ciała, gdzie wszelkie takie niedostawanie czyli jak w wielu razach nie rozwinięcie się, jest tylko przechodem z formy do formy, jaki jest zwykły w całym łańcuchu stworzeń. Organy roślin doskonalszych zmieniają się powoli i nikną postępując ku mniej doskonałym. Tak ślady okryć kwiatowych widzimy w miodnikach wierzby: też w miodnikach traw (*lodiculae*).—

(Liczba wszystkich roślin znanych i opisanych wynosi nie 60,000 ale samych jawnoptęciowych około 80,000 Patrz *Nom: Bot: Steudel. 1840.*)

Wytłomaczywszy kierowanie się korzonka ku ziemi jedynie przez prawa ogólnego ciężenia jakążdamy przyczynę kierowania się piórka w górę?

Uważanie z *Pyr de Candolle* soczewek (*lenticule*) za pączki korzeniowe, jest wcale nie właściwe. Korzenie nie zawsze przez nie wychodzą. *H. Mohl* zbiłmniemanie *de Candolla* bardzo dowodnie. Zdaje się że najlepiej byłoby uważać soczewki za dziurki korowe (*stomatia*) podległe pewnym przemianom. Materya ziarnkowata w nich się znajdująca, którą *Mohl* uważa się za początek tworzenia się korku, zdaje się być także samą jaka się zawiera w komórkach dziurek korowych jest tylko znacznie zmienioną.—

Mówiąc o organizacyi łodygi, autor powiada że w roślinach, jak je P. P, nazywa dwulistkowych część najtwardsza jest najbliższą środka, a przeciwnie w jednolistkowych. Nikt przecież nie zaprzeczy, że familie, amarantowych i baldaszkowych należą do dwulistkowych, gdy tymczasem budowa łodygi tak w pierwszych, jak téż w znacznej części drugich jest zupełnie taka, jaką autor opisuje w jednolistkowych.— W ogóle mówiąc o budowie jednolistkowych, autor rozumie pod tém najwięcej Palmy, które przecież nie są typem jednolistkowych, ale raczej stanowią od nich w budowie swęj wyjątek. (Patrz Link: Phil: Bot: 1837.)

Analogja pomiędzy trzonem palm a cebulą dosyć fantastyczna od nikogo nie jest przyjętą. Trzony palm miękkie mające niby pośredniczyć między temi dwiema formami nie istnieją, *banany* bowiem (*intuscedae*) nie należą wcale do palm.—

Na karcie 107 przy teoryi odkładania, opuszczone zostały (wątpię ażeby przez omyłkę druku) po wyrazach » Dla ułatwienia jeszcze« — wyraz «ukształcenia się korzeni.» — (a) bez czego zdanie następne nie może być zrozumiane.

Pomiędzy dowodami mniemania, że liście przyczyniają się do wciągania (*absorbatio*) jest i to doświadczenie, że oderwawszy wszystkie liście z rośliny ta ginie dla niedostatku soków. Jest to do-

(a) według tekstu francuzkiego.

wód który mniemania tego skądinąd słusznego, wcale nie potwierdza, gdyż równie można sobie wytłómaczyć, że roślina ginie przez niewyrabianie się soków surowych przez korzenie wciągniętych.

Dowodząc że pokrywa kwiatowa u jednolistkowych, jest kielichem tylko, nie zaś kielichem i koroną powiada autor, że gdyby działki stanowiły dwa oddzielne pokrycia, punkt przymocowania korony, byłby bardziej wewnętrzny jak kielicha gdyż korona jest przedłużeniem substancyi drzewnej w łodydze, a kielich jest przedłużenie nadszórka, przytacza więc na dowód mniemanie, które na poprzedniej karcie sam za mało ważne przyjmuje, a które istotnie nie ma najmniejszej zasady. Dziwno jest że P. P. wydając dzieło w 1840 nie umieścił w niem nowej, wjelkiej i pięknej teoryi Endlichera i Schlejdena o zapładnianiu się roślin kiedy ta już w 1838 była powszechnie za granicą znajoma i utrzymała się mimo usilnych zbijań Meyena i innych. Teorya ta zasadzona na ścisłych obserwacyach, zmieniając dotychczasowe wyobrażenie o płci roślin, tłómaczy nam pięknie bezwyjątkowy kierunek korzonka (radicula) ku otworkowi (micropyle) wyjaśnia stosunek roślin skrytopłciowych do jawнопłciowych, a dając nam poznać, dotknąć się że tak powiem jednej z najważniejszych funkcji życia roślinnego, zasługuje na to ażeby była powszechnie znaną.—

Zbija autor mniemanie Linneusza, że można za-

plodnić jedną tylko komórkę guzika wielokomórkowego, które jednak bardzo jest słuszne.—

W artykule o pokryciu nasienném, znajdujemy najnie dokładniejszą wiadomość o otworku (micro-pyle.) Naprzód nigdy nie znajduje się on na znaczku lecz tylko niekiedy w bliskości jego, w większej zaś liczbie familii umieszczony jest już to w zupełnie przeciwnym kierunku, już z boków, mniej lub więcej zbliżony do znaczka. Nikt z nowszych Anatomów nie uważa go za nieistniejący. Prawda że w dojrzałym nasieniu często nie jest widoczny, lecz w jajku (ovulum) znajduje się bez wyjątku (exostoma et endostoma) autor opuścił zupełnie organizację jajka, chociaż znajomość jest niezbędną dla każdego zajmującego się botaniką.

Nakoniec nikt nigdy nie myślał, aby przez otworek przechodziły naczynia ze sznurka do nasienia, myśleli tylko niektórzy, że tamtędy przechodzą naczynia od słupka idące (chordae seminales) które miały służyć do wprowadzenia masy pyłkowej.— Całe tedy opisanie otworka, jest tak niedokładne, tak fałszywe, że nie mogłoby się ostać nawet przed pół-wiekim, kiedy anatomja nasienia jajka były i jeszcze prawie nietknięta. Pomijam dzieła obce, lecz zobaczmy co mówi o otworku Prof. Szubert w rozprawie o nasieniu przed 16 laty pisanéj. Po definicyi pępka (hylus) czytamy:» prócz tego znajduje się w wielu nasionach przy samym końcu korzonka, w pokryciu dziur-

»ka kiełkowa (foramen germinationis Tittmann, mi-
»cropyle Turpin) jednym się zdaje że przez ten o-
»twór płyn upładniający się przeciska, drudzy twier-
»dzą że wilgoć do wschodzenia potrzebna tędy naj-
»łatwiej do środka nasienia się dostaje i pęcznie-
»nie wszystkich części przyśpiesza, na dowód tego
»dodają że z nasienia moczonego np. grochu, ści-
»skając go ta kropelka wychodzi, po której nae-
»wet najłatwiej o bytności tej dziurki przekonać-
» się można.»—

Jakkolwiek opisanie to nie jest zupełnie dokła-
dne, jest to jednak wszystko co w wówczas o o-
tworku wiedziano, a z czem opisanie P. P. nie
może iść w porównanie. Po kilkunastu latach
gdy tyle przedmiot ten oświeciły prace *Roberta*
Browna, *Brogniarta* i innych, znajdujemy w dzie-
le niniejszym tak niedorzeczny opis, jest to praw-
dziwy śmiertelny grzech przeciwko nauce.—

W *Taxonomii* autor uważa systema *Jussieugo*
i *de Candolla*, za metody naturalne, gdy one isto-
tnie są tylko systematami naturalnemi. Za nadto
byłoby mówić o różnicy tych dwóch nazwisk, jest
ona bowiem powszechnie znajomą. Metody natu-
ralnej dotąd nie mamy właściwie, a o układzie
Reichenbacha, który jeśli w wykonaniu nie jest
zupełnie doskonały, to w zasadach swych jest bez
wątpienia najnaturalniejszy, autor nie zrobił na-
wet wzmianki.—

W całym dziele nie znajdujemy nic prawie, a

przynajmniej bardzo mało o roślinach skrytoptciowych, jeżeli Richard, zastosowawszy dzieło swe do medycyny mniemał że się może obejść bez tego, to wszakże P. P. nie zdawał się być przeto obowiązany do podobnego opuszczenia.—

Niedostatek synonim, szczególnie łacińskich wszędzie się daje uczuć. Byłoby bez wątpienia wielkim ułatwieniem dla początkujących do zrozumienia dzieł botanicznych, aby przy każdym organie, były nazwiska przez różnych używane autorów, gdy tymczasem znajdujemy tylko pojedyncze a częstokroć nawet nie najużywańsze.— Toż samo rozumie się o nazwiskach całych roślin.— Widziemy w jednym miejscu *Taxodium*, winnem *Szubertia*. Łatwo mógłby kto być w błąd w prowadzonym, że to są dwie różne rośliny. Czemuż umieściwszy obok synonimę, nie mamy zatrzymać nazwiska tem dla nas miłszego, że je nadał roślinie wielki Mirbel, w pamięć uzonego polskiego wywiczując się niejako za pomoc jakiej od tegoż w obrabianiu niektórych familii odniósł.—

Wspomnę nakoniec o niektórych wyrazach polskich. Szczególne organa *porostnicy*, które łączą ziarna (spora) z osadnika mi nazwane są sprężynkami, może lepiej byłoby dać jém zupełnie odrębne nazwisko *sprężyków* (elateres Schleudern.)—

Wszędzie widziemy nazwiska roślin: dwulistkowych, jednolistkowych & czemuż raczej nie mamy ich nazywać dwuliścieniowemi jednoliścienio-

wemi, gdy te wyrazy są więcęj utarte i nie zawierają żadnej dwuznaczności.—

Ktokolwiek zechce roztrząsać niniejsze uwagi przyzna zapewna ich słuszność. Niektóre z nich mogą się wydać małoważnemi, lecz sądzę że w dziele elementarném, najmniejsza okoliczność mogąca wbiłd wprowadzić nie może być małoważną. Szczególniej zaś opuszczenie nowych odkryć nowych teoryi powinno być najbardziej unikane. Czyż i wtedy kiedy staramy się postępować naprzód, mamy zostawać w tyle; czyż dzieła naszych uzonych zawsze zasługiwać mają na podobne zdania, jakie dał Sprengel o florze Jundziłta (z 1811) «Wir haben wenig Interessantes gefunden: auch scheint der Verfasser mit den neurn Entdeckungen und Berichtigungen gar nicht bekannt zu seyn. (Patrz neu Entd. v Sprengel 1821).—

Jeżeli kończąc to pismo nic nie wspominam o zaletach dzieła Richarda, czynię to dla tego iż dosyć powszechnie jest znane. Dzieło to w polskim wydaniu, byłoby można powiedzieć najlepsze z naszych dzieł w podobnym rodzaju, gdyby tylko niedostatki jego tu wytknięte, a może i inne jeszcze których niedostrzegłem były unikiwane. (*)

(*) Krótkość tego artykułu nie pozwoliła mi obszerniej mówić o wielu jeszcze miejscach zawierających niedokładne wiadomości lub fałszywe mniemanie, jak np. o największej wysokości roślin, o krążeniu soków, przyczem pomniejszane są wyobrażenia o sokach żywiających z sokami właściwemi (*Latex* Schultz) o kwiatostanie, którego podział stary na niczem nie oparty. e t c.

Pisałem w Dorpacie 13 Września 1841.

Chalubiński.

ODPOWIEDZ

Bibliotece Warsz. na jej krytykę o *Nadwiślaniu*.

Jeżeli bezstronny i sprawiedliwy krytyk ma prawo do szacunku surowo przez siebie osądnego autora, jeżeli słuszna i bezstronna krytyka jako środek dzielnie się przykładający do postępków umiejętności nieocenioną ma wartość; to z drugiej strony z boleścią i oburzeniem przychodzi ją widzieć zamienioną w oręż stronnictwa.

Jeden z członków naszego pisma umieścił w pierwszym zeszycie krótkie zdanie o *Bibliotece Warsz.* którą niektórym podobało się nazwać recenzją. Znaczny przeciąg czasu od owej chwili upłyniony małą w tém względzie sprawił odmianę, i dziś po wyjściu trzech tomów z przykrością musimy też same powtórzyć słowa.

Znać biblioteka w przekonaniu że nikt jej się sprzeciwić niepowinien, szafując pochwałami dla siebie i swoich: gani i potępia wszystko cokolwiek nie ma z nią związku. Stąd to pochodzą wszystkie pociski miotane na Kraszewskiego i innych, które jakkolwiek zaszkodzić nie mogą, zawsze przecież wyświęcają cele i duch pisma.

W ósmym zeszytcie *Biblioteki* czytaliśmy zdania o pismach peryodycznych Warszawskich. *Przegląd* przekonał jasno ile sąd o nim był słuszny, my również pośpieszamy z nad umieszczonych tam ocenieniem Nadwiślana. Recenzent czyniąc zgodła naszego pisma dość lekkie wnioski, powtarzając całemu światu wiadome rzeczy, czyni uwagę, ile to potrzeba nauk aby postępować wrówni z duchem czasu. Niech nam będzie wolno zjak największą grzecznością odpowiedzieć że Biblioteka sama jeszcze niedopięła tego celu — że Nadwiślaniu jakkolwiek daleki od jęj doskonałości nie umieszcza ani poezyi z komplementami przed staty pisanych, ani artykułów podobnych porankowi modnej kobiety, literackiej wściekliczny i t d; O naszym piśmie to tylko powiemy że celem jęgo było obudzić zamiłowanie literatury w młędzieży, i zwrócić jęj usiłowanie ku kształceniu się samoistnemu. Może być że ten cel tyle nie podobał się Bibliotece iż nie przestając na tem, stara się nas ugryść jeszcze dowcipami o *Marcycjanie Gdańskim*, *Piorunie*, *białym kaftaniku* czyli *okładkach*. My moglibyśmy również nazwać *Bibliotekę* bigosem literackim olbrzymim piernikiem toruńskim lub częm podobnym; ale niechcemy używać podobnych konceptów, wstydzilibyśmy się nawet wspomnieć o okładkach jakiejkolwiek książki — kiedy przecież Biblioteka daje nam do te-

go prawo, oświadczamy że brudne jej okładki porównane z kartami krytyki, stają się bielszemi od śniegu.

Ant. F.

PRZEGLĄD

NOWYCH DZIEŁ

Pierwiosnek noworocznik na rok 1842 złożony z pism samych *Dam* —? zebrany przez Paulinę Kraków. Dobór poezyi lepszy jak w latach zeszłych, nieprzepominając wszakże, Józefy P... Leony B..... i Narcyzy Z.... w tegorocznym między prawdziwie pięknymi odznaczają się *Mądrość i Prostota* Leontyny M... i *Dwie dziewice* Józefy Prusieckiej; *Branka Tatarska* powieść Pauliny Kraków, rzecz dosyć znajoma, styl gładki.

Zarysy domowe K. W. Wójcickiego tomów 4 1841 r.—Służą niejako za dopełnienie *Gawęd* oprócz kilku artykułów resztę znamy już z różnych pism perjodycznych, Pan Chorąży spijający się ukradkiem anyżówką u Panny starościarki, przy małej liczbie szlachetniejszych charakterów zdaje się niepotrzebnym.—

Pierścionek powieść przez Józefinę O.. Warszawa 1842. — intryga nieźle prowadzona, styl gładki, wyrażenia miłe i delikatne.

Poezye tłuuaczone i oryginalne. Józefa Pasz-

łowskiego Warszawa 1842.— Tłumaczenia mają swoją wartość, wyjąwszy Do z Lorda Byrona gdzie nawet i cienia nie widać piękności wzoru.— Co do oryginalnych przytaczamy kilka ustępów z *Marzeń Kawalera*.

Przecież się jeszcze nie trwożę,
Co się nie stało stać może.

Wszak lusterko moje świadkiem,

Zem nie jest kościanym dziadkiem, .

Skroń po Bogu jeszcze gładka,

I czupryna niezbyt rzadka,

A serduszko puka, puka,

Jak kukawka głośno kuka.

albo

Aż też ją samą zastaję,

Przez androny, przez ambaje,

Choć to dzisiaj inna moda,

Powiem kocham, węzłowato,

Ona nic nie rzeknie na to,

Tylko skrycie rękę poda.—

Zofia Olołkiewiczówna Księżniczka Slucka powieść historyczna, przez Józefinę O... tomów 3 Warszawa 1842, sposób pisania zajmujący, charaktery trafnie kreślone.—

Poezye Józefy Prusieckiej, Warszawa 1841 r.— Już od lat kilku prace tej młodej autorki zajmują publiczność, miły sposób wyrażenia się, wdzięczny i harmonijny język są główną ich zaletą,

zarzucićby można niepewne zwroty w osnowaniu myśli, i w kilku miejscach przesadzony sposób wyrażenia się, który jakkolwiek zająć potrafi, słabiej i prawie śmiesznym się staje w ustach kobiety nie mówimy tego by podzielać myśli tych, co zabraniają pisać płci niewieściej.— jak naprzykład *Autorka* artykułu o *młodej Autorce* (1) nasze zdanie jest mniej ostre, chcemy widzieć w kobiecie niezucia kobiety nieoznaczając im granie wzniosłości i mocy — najlepszym dowodem wiersz następujący,

Precz szalona z myślą twoją,
Ze jest niebo na tym świecie,
Bezrozumne słabe dziecię!
Z kąd marzenia te się roją?
Czyżes kiedy raj widziała?
Czyżes kiedy była w raju?
W pierwszym życia twego maju,
Czyś czystą roskosz zaznała?..

z jakąż przykrością i niesmakiem czytamy wstęp z wiersza pod tytułem *Kobieta*.

...Kto pojąć pragnie niech cyrkla nie szuka;
Daremna Hegla, Kanta, Newtona nauka;
Przyznaję że rzecz każda musi być podzielną.
Lecz gdy ją podzielimy nie stracisz wartości,
Bóg dał siłę spojenia mamyż ją rozrywać?
Lepiejże nad szczegółem każdym się zdumiewać.
Niżli widzieć rzecz całą, i sądzić w całości?—

(*) Pierwiosnek rok pierwszy.

Lecz gdzież się zapędziłam!.. pył drobny znikomy,

Nie tylko że nie widziem zapędu, ale nadto czujem całą przesadę, i staranną usilność wyrażen: porównawszy wszakże tak błędy jak i zalety, powyższe poezye liczyć można do najcelniejszych, na teraz przez kobiety pisanych.

Poezye Józefa Łopacińskiego Warszawa 1841— Zawierają oryginalną dramę, pod tytułem *Machocha*, wiersz gładki starannie wykończony, rymów podostatkiem, przejęcie się posunięte do naśladownictwa znanym powszechnie autorem stanowią całą jej, jeżeli można nazwać zaletę. —

Teatr starożytny w Polsce K. W. Wójcickiego tomów 2 Warszawa 1841.— staranny zbiór z dawnych autorów, dziełko mające zawsze swoją wartość.

Czarna mara. powieść historyczna, przez *Annę Nakwaską*.

Prawdziwie piękny przedmiot, do powieści wystwiają nam dzieje ostatnich chwil udzielności Księztwa Mazowieckiego, tajemniczy zgon dwóch młodych księżąt Janusza i Stanisława — Charakter ich złożony zdziwnej mieszaniny rycerskiej siły, z dziką chropowatością!owczesnych obyczajów, a nako-

niec mgła wieków, okrywająca drobniejsze szczegóły tego wypadku, szerokie zostawia pole fantazyi — wszystko to mogło silnie pociągnąć ku sobie powieściopisarza. — Powieść *Czarnéj mary* tenże ustęp sobie za przedmiot obrała, lecz jakkolwiek rzeczy te blisko nas dotyczące mile są przyjmowane, nie upoważnia to jednak na przedstawianiu na saméjże treści: Brak odczytania się w źródłowych pismach, fałszywa zasada całej osnowy, niezrozumienie ani czasu, ani charakterów epoki zdziały — że pomimo kilku prawdziwie pięknych ustępów, ogół nie robi na czytelniku, żadnego trwałego wrażenia.

Niezapominajki Noworocznik na rok 1842 wydany przez *Karola Korwela* z 5 rycinami.

Proza słabsza jak w roku zeszłym również i poezye; *Dumkę przy kominku* *Wiktoryna Zielnickiego* jako prawdziwie piękną przytaczamy.

Coraz wcześniej mrok zapada,
Cień za cieniem smutek wlecze;
Kraczą wron złowrogie stada,
Stary czas leniwo ciecze,
To i w myśli nie wesoło.
Zima w koło, zima w koło.

Po kobiercach strojnych lata,
Gorejących wzór rubinach,

Wicher śniegi dziś zamiata,
Po pagórkach, po dolinach,
Wietrzno, mroźno, śnieżno w koło,
To i wmyśli nie wesoło.

Myśl jak struna melodyjna,
Wystrojona do żałoby,
Z przyrodzeniem harmonijna,
Gdzieś ulata między groby,
Między pleśnie i ruiny,
Do zagastych gwiazd drużyny.

Co człęk kochał, czem się budził,
Na co trwonił czucia skarby,
Wszystko chyży czas ostudził,
Blask wiosnianej zgasił farby;
Gorejącej wiary niema,
W sercu zima, w duszy zima.

Wszystka górnych baśni sława,
Co tak młodość nam czaruje,
Jak grobowa mara stawa,
Strachem, żalem obejmuje,
Nie zachwyca świat ponętny,
Człęk jest zimny, obojętny.

Lecz z białego śniegów łona,
Przecież liść zielony strzeli,
Błyśnie wiosna odmłodniona,
I przyrodę rozweseli.

Znowu będą pieśni wonie,
Byjne kwiaty, jasne tonie.

To i smutna myśl człowieka,
Chociaż serce ciężko boli,
Przecież zbytnie nie wyrzeka:
Znów się wzbija w lot sokoli,
Czystszą, wyższą miłość budzi,
Dla spółbraci, dla spółludzi.

Gnuśnik tylko niedołączny,
Rzuca walki plac sromotnie,
Z rajcu czucia zbieg nie mężny,
Pada sercem nie powrotnie,
Jak zeszcłtego gałąź drzewa,
Co się kwiatu nie spodziewa.

Mędrzec choć go wiek ostudzi,
Choć mu zima włos przypruszy,
Nie zapomni widząc ludzi,
Ni o sercu ni o duszy.

A gdzie miłość, serca bicie,
Tam jest wiosna, tam jest życie.

Więc niech śniegi kłębią w koło,
My usiadłszy przy kominie,
Wypogodźmy smętne czoło,
I w kochanej nam drużynie,
Serca życiem napawajmy,
Myśluny czujmy i kochajmy.

Jest wprawdzie jeszcze kilka poezji które na pozór chwilowo zaiąc potrafią — nie mając żadnej trwałej wartości, myśli nie nowe, w wielu miejscach naśladownictwo, sztuki w pisaniu dosyć, przytoczém jeden takowy wyjątek z kozaka ukraińca.

Ed. Chojeckiego.

Tyżesz drogi Ostapie! zawoła dziewica,
Dumałam z żalu że wypłaczę oczy,
Serce ołowiem gniecie tęsknica,
Duszę ponury smutek wciąż mroczy,
Darmo mię matka pocieszyć zdoła,
Paciorki daje, pieści, hołubi,
Prawi że walczysz z hordy Mogoła,
A walcząc *dusza z ciędem się gubi.*
Ja w nic nie wierzę — bo stara cyganka,

Mówiła wzrokiem wodząc po mej dłoni,
Ze będę szczęsną, że ujrzę kochanka,
Ze Anioł *strażnik* od trosk mnie ochroni,
To mówiąc głowę na piersi mu skłania,
Zda się że usta śledzi serca bicie,
Jako twarz słońca wjesiennym zachodzie,
Ziemi zasyła promień pożegnania,
A sama tonie w morza błękiecie,
— «Dość już Kimilo! jam spieszył co siły,
Czasu mie trawił na kowieńskim miodzie,
Z pereł nie zdzierał tureckie zawoje,
Bo nad miód kowna słodsze usta twoje,
Bo nad djamenty świeci ócz twych dwoje,
Lecz dość już bitew wszakże od małego,
Step jak szeroki przebiegam do koła,
To ścigam hordę pierzchliwą Batego,
To szablę szczybię na karkach Mogota,
Teraz pop ręce niech wiąże nam stuła,
-Zaszczytów niechęć niepragnę sławy,
Wszakże mnie chciano obrać assawuła,
Wzgardziłem wybór braci *tak łaskawy*,
Dalej Kilimo! czas nam do słodoby,
Miło żyć będzie z dziewczęciami tak hożem,
Bracia młódzcy! proszę was na gody,
Jutro się żenię— rozbrat z Zaporozem,

Nowy gabinet powieści. S. Z. Sierpińskiego tomów 3—sąd o nim czytaliśmy już w pismach periodycznych co do 2 i 3 główną ich zaletą jest miejscowość i oryginalność, wiele ustępów jak np. w powieści *Robert Diabeł* prawdziwie poetycznych w powiastkach *Biedna Józia* i *Pan Wojski* charaktery trafne i naturalne. Zabójcy czyli przykłady morderstw, żałujem mocno że przytoczone tu zdarzenia nie są ubrane w barwę mniej więcej powieściową—w ogóle prace pana Sierpińskiego znanego z pism naszych i zagranicznych, zasługują na szczególniejszą uwagę i ogólniejszy jak dotąd widzieliśmy rozbiór bezstronnej krytyki.—

Starosta Rabsztyński obraz historyczny domowego życia polaków z pierwszej połowy XVIII wieku przez J. Wislic'iego.

Sam tytuł książki mocną obudza ciekawość czytelnika, lecz szkoda tylko iż ciekawość ta ani w części życzeń po przeczytaniu nie zaspokoi, w mieszanych kilkanaście imion historycznych przytém długie i nudne ustępy moralne, o to wszystko co tu znaleźć można ale ani obrazu domowego życia a tém bardziej historyczności niech nikt nadaremnie nie szuka.

Wyszło także z druku kilka tłumaczeń z obcych języków: *Sten i*, tomów 4 z francuzkiego Kamilli Bodin—*Paulina* Dumasa—*Sztuka* podobnia się Eugeniusza Sue—*Dziecię* mojej żony Pawła de Kock—*Tłumaczenia zjawisk* natury dzieł Lame Fleuri.—



P.I

494